Rocznik I. Kraków, 1 maja 1898. Nr. 9.

RUCH SPOŁECZNY

DWUTYGODNIK POLITYCZNY i NAUKOWY.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

ROZBICIE PRAWICY.

Smutny, nad wyraz przygnębiający okazał się epilog polityki środeczków i kompromisów, tak trafnie nazywanej sztuką rządzenia, która od dawna zastępowała sternikom nawy austryackiej kompas i myśl przewodnią. Stoimy pod wrażeniem powziętej większością ośmiu głosów uchwały izby co do postawienia hr. Badeniego w stan oskarżenia, za to, że wobec popełnionych w parlamencie zbrodni gwałtu publicznego, chwycił się środków obrony koniecznej, ale połowicznie je przeprowadził i sprawców gwałtu nie jako przestępców, ale jak ludzi niepoczytalnych traktował.

Równie gwałtownego wybuchu anarchii, jak w listopadzie, nie było w parlamencie austryackim nigdy, ale na anarchię tę złożyły się błędy długiego lat szeregu, a przedewszystkiem polityka *des Durchfrettens*. To też obecna uchwała izby jest potępieniem nie osób, ale od długiego czasu praktykowanego systemu rządzenia, unikającego zarówno zakreślania programu działania jak i akcentowania zasad, w myśl których taki program miałby być opracowany, w przekonaniu, że zręczność i sztuka wystarczy do ominięcia trudności i zawodów. Z tego stanowiska postępował ostatni gabinet konsekwentnie, kiedy zamiast oprzeć się na wypróbowanym jeszcze z czasów Taaffego wiernym sojuszniku, jakim była katolicka partya ludowa, z całą usilnością wyciągał ramiona do liberalnej większej własności niemieckiej, z którą prawicę łączyć mogła zawrzeć się mająca (a wyrzeczeniem się wielu ważnych punktów programu prawicy okupiona) umowa, ale nie ta wspólność zasad, co jedynie stanowi trwały grunt dla wszelkiego sojuszu. Zbliżenie różnolitych grup może być pod względem taktycznym wskazane i potrzebne dla osiągnięcia chwilowych celów, ale nigdy nie może być osią polityki, tak jak zręczna dyplomacya może nawet małemu państwu przynieść nieraz wielkie korzyści, ale stały rozwój tego państwa nie od sukcesów dyplomatycznych, ale od jego wewnętrznej siły zależy. Odtrącenie niemieckiej katolickiej partyi ludowej było zasadniczym błędem polityki hr. Badeniego; następstwa tego faktu można też odnaleść w wypadkach ostatnich dni. Bo chociaż na razie dzięki wytrawnej polityce Koła polskiego nastąpił sojusz prawicy z niemiecko-katolickiem stronnictwem, to jednak w łonie tego stronnictwa pozostało dużo uprzedzenia i nieufności, podsycających niejedną osobistą ambicyę i oddziałujących deprymująco na szeregi, które miały walczyć w słusznej, ale dla niemieckiego uczucia bardzo niepopularnej sprawie, bo w sprawie rozszerzenia praw języków słowiańskich na niekorzyść niemieckiego.

Od tej chwili sprawa publiczna zeszła w niemieckich prowincyach Austryi na flukta popularności, dziennikarstwa w rodzaju *Ostdeutsche Rundschau* i co za tem niechybnie idzie, deklamacyi, frazesu i wzajemnego przelicytowania się w zaklęciach i obietnicach. Okazało się, jak błędnem było przypuszczenie, że przez rozszerzenie prawa wyborczego sprawa narodowościowa będzie musiała ustąpić przed kwestyą socyalną; nigdy jeszcze w parlamencie kwestya narodowościowa nie wybuchnęła z taką gwałtownością, jak w ostatnich kilku miesiącach; przeszła ona wszelkie granice, nawet granice państwa austryackiego. Okrzyczano za zdrajców narodu cały szereg najuczciwszych Niemców, którzy uważali to za sprzeczne ze swojem sumieniem, żeby w imię narodowościowej walki zapominać, iż lud wysyła swych reprezentantów do Wiednia nie dla krzyków i burd, ale dla poprawy swojego ekonomicznego i socyalnego położenia, że jak do jednostki tak i do państwa stosuje się maxyma: *nulla dies sine linea*, że każdy dzień dla społecznej pracy stracony jest abdykacyą i unicestwieniem idei państwowej.

Daremnie! Zbyt długo praktykowano zasadę *divide et impera*, żeby powstały z tego jątrzenia rozbrat nie pociągnął za sobą zupełnej niezdolności do pracy i nie doprowadził do zupełnego upadku władzy. W tych smutnych dniach nie odpadli jeszcze byli od prawicy wszyscy niemieccy sojusznicy, ani inne mniejsze kluby, a przecież iluż to z nich zawiodło prawicę w dniu 26 kwietnia! Nie znamy bliżej stanu rzeczy, ale trudno przypuścić, żeby pomiędzy 77 posłami, którzy 26 kwietnia byli w decydującej chwili nieobecni, nie znajdowali się tacy, co w listopadzie za lex Falkenhayn głosowali. Zdobyli się więc zapewne wówczas na to, żeby wśród ogólnego zamieszania za lex Falkenhayn podnieść rękę, ale nie mieli tej odwagi cywilnej, aby przy wtorkowem imiennem głosowaniu wyciągnąć z tego postępowania konsekwencye.

Jeśli przeciwnicy równouprawnienia narodowości i historycznego rozwoju Austryi tryumfują, że wskutek tego głosowania rozbitą jest prawica, to odpowiadamy im, że rozbicie to nie ogranicza się do parlamentarnych partyj, ale sięga daleko głębiej, w samą ideę państwową austryacką, a tych, co się do tego rozbicia przyczynili, przestrzegamy, że niebezpieczną jest rzeczą na popękanych fundamentach gmach reform budować. Chcemy

wierzyć, że partya katolicko-niemiecka dąży do wprowadzenia w życie lepszej od manchesterskiej doktryny społecznej organizacyi, znamy niektóre tej organizacyi szczegóły, ale pytamy, czy w łonie dzisiejszej chwilowej większości niemieckiej znajdzie ta partya dla swych reform żarliwych obrońców? czy swojem zachowaniem w dniu 26 z. m. nie zniweczyła na długo szans przeprowadzenia swojego programu, stokroć społecznie ważniejszego od wszelkich kwestyj językowych i taktycznych? A Rumuni, a Włosi i Słoweńcy czy znajdą u centralistów poparcie dla swych autonomicznych żądań? Wszystkie te partye zaspokoiły małe ambicye, małe rankory zagrożeniem swoich najżywotniejszych zadań, a jeśli o urzeczywistnieniu tych dążeń nadal myślą, to chyba wychodząc z założenia, że Polacy i Czesi będą od nich lojalniejsi i ani nie pójdą wbrew przekonaniu ani się siecią intryg uwikłać nie dadzą.

Bolesnem, pouczającem na przyszłość, a wykazującem trafność postępowania polskiego obozu konserwatywnego w przeszłości, było zachowanie polskiego klubu ludowego a po części i chrześciańsko-społecznego w tej sprawie. Pamiętamy wszyscy te tysiąc razy podczas wyborów powtarzane zapatrywania, że włościanin polski i poza Kołem polskiem godnie będzie w parlamencie reprezentował narodową ideę, że szeroka arena parlamentarna wyrobi w nim to polityczne wykształcenie, którego mu jeszcze nie dostaje, że będzie on nawet na separatystycznem stanowisku dzielną siłą i narodowym szermierzem. Dochowanie solidarności słowiańskiej przez członków tych klubów w listopadzie 1897 zdawało się trafność tego zapatrywania potwierdzać, a część prasy polskiej czyniła z tego stanowiska partyj ludowych taran przeciw ciasnocie i ekskluzywizmowi Koła polskiego. Zachowanie się pp. Bojki, Krempy i Kubika, tudzież reprezentantów t. zw. intelligencyi w tych grupach, pp. Winkowskiego, Danielaka i Ks. Szpondra okazało, jak przedwczesnym był ten sąd i jak niebezpiecznem być może w decydującym momencie dla sprawy narodowej powierzanie mandatów ludziom, którzy częścią dopiero uczyć się mają, jak krajowi na obczyźnie służyć, częścią swoich uraz i niechęci, czy też swojej popularności nie umieją ponieść w ofierze tam, gdzie się walka między centralizmem a autonomią rozgrywa. Niezrozumiałem było dla nas także stanowiko ks. Świeżego i posła Stefanowicza; podnosimy natomiast chętnie z uznaniem zachowanie się ks. Stojałowskiego i posłów Ceny, Szajera i Zabudy, jakkolwiek dziwne nasuwa refleksye fakt, że trzej członkowie klubu chrześciańsko-społecznego uchyleniem się od głosowania dezawuują krok przywódcy klubu, którego program głoszą!

Jakkolwiek przykrem jest dla nas wspomnienie zajść, które nastąpiły po wydaniu legis Falkenhayn, powinni byli wszyscy nasi posłowie z głosowania członków Koła polskiego przekonać się, jak słuszne są słowa Thiersa: Après le fait accompli il n'est point patriotique de donner tort à son pays.

Jeżeli zważymy, że pierwsze ustawy, stanowiące reakcyę przeciw liberalnemu kierunkowi i centralistycznej przewadze, były za gabinetu Taaffego uchwalane zaledwie kilku głosami razem z głosami ministrów, jak np. ustawa szkolna lub nowela przemysłowa, to się okaże, że jest nietylko rzeczą narodowej godności, ale i ważnym praktycznym postulatem, aby żaden głos polski nie zbłądził i nie zabłądził między szeregi przeciwników lub wśród izbowych korytarzy. Mamy nadzieję, że posłowie ludowi polscy poznają choć po czasie, że skompromitowali się wobec naszych najwierniejszych sojuszników Czechów, których hucznie przyjmowali w Krakowie, ale od których nie nauczyli się solidarności i zaufania do przywódców narodu. Może zdanie Czechów otworzy im oczy, skoro zdanie prezesa Koła polskiego wydaje im się stronniczem, ale niech przyznają, że sami sobie utrudnili tym politycznym debiutem uzyskanie miejsc w komisyach, bo ludzie, co w tak prostej rzeczy mylną obrali drogę, niezupełną dają gwarancyę, że w daleko trudniejszych obradach komisyjnych błędów nie popełnią.

Nie jest rzeczą wykluczoną, że te kilka głosów polskich i w przyszłości odgrywać może rolę języczka u wagi, nie zanosi się bowiem na to, żeby dla spraw wewnętrznej polityki wytworzyła się silna większość. Koło polskie niewątpliwie popierać będzie usilnie wszystkie dążności utrzymania zasad sprawiedliwości, ładu i racyonalnego postępu tak w sprawach organicznego ustroju państwa, jak i w bieżących czynnościach administracyi, choćby w niejednym punkcie stanowisko to wymagało wielkiego zaparcia i przykrych dla naszego stanowiska koncesyj. Ale są punkta zasadnicze, co do których mowy o ustępstwach zgoła być nie może. Do tych właśnie punktów zaliczamy kwestyę językową, której uregulowanie należy wyłącznie do kompetencyi Sejmów krajowych. Posłowie polscy nie mogą się zgodzić nawet na parlamentarną ustawę ramową, bo pojęcie tych ram jest rzeczą elastyczną i podlegającą interpretacyi każdoczesnej parlamentarnej większości. Zarówno uczuciem sprawiedliwości wiedzeni, jak i smutnem nauczeni doświadczeniem, odczuwamy głęboko konieczną potrzebę zawarowania praw mniejszości i nie zaniedbania niczego, coby do wzajemnego porozumienia się jeden kraj zamieszkujących ludów doprowadzić mogło; w tym kierunku postępujemy w Galicyi wytrwale i gotowi jesteśmy pójść jeszcze dalej, ale kompetencyę Sejmów w sprawach językowych uważamy za nienaruszalną. Z tego stanowiska wychodząc, widzimy w uchwaleniu wyboru parlamentarnej komisyi dla sprawy językowej jedynie pewien rodzaj naukowej ankiety, powołanej nie do rozstrzygnięcia kwestyi, ale tylko do przygotowania materyału dla pracy w Sejmach przeprowadzić się mającej. Program ten wymaga zupełnej łączności wszystkich stronnictw autonomicznych bez względu na różne polityczne odcienie, bo najmniejszy w tej kwestyi popełniony błąd mógłby pociągnąć fatalne następstwa; niebezpieczeństwo to jest tem groźniejsze, im mglistszemi i bardziej ogólnikowemi są preludya, z jakimi rząd do przygotowania samej akcyi przystępuje.

Parlament austryacki czyni wrażenie człowieka, który przebył straszną chorobę i utracił siły żywotne w przystępie gwałtownych konwulsyj; kuracya pochłonęła ogromne sumy, a większą jeszcze była utrata zarobku ze strony najbliższej rodziny, która poświęcając cały swój czas pielęgnowaniu chorego przestała pracować w niepewności jutra. Rząd hr. Thuna występuje w roli lekarza; chory nie bardzo mu dowierza, bo wie, że lekarz nie zawahałby się przed groźną zawsze dla chorego operacyą; ale lekarz nie przynosi z sobą narzędzi, owszem, dodaje otuchy, a postępuje z całą delikatnością swego fachu, żeby snać chorego nie obruszyć i recydywy nie sprowadzić. Tylko w jednej kwestyi zapomniał o koleżeńskiej delikatności: wypowiedział jawnie, a może ze zbytnią pewnością siebie, że poprzedni doktor źle zalecił lekarstwa. A uprzedzając pytanie, kiedy nastąpi rekonwalescencya, zapewnia lekarz, że to od chorego samego zależy: niech unika wzruszeń, niechaj pragnie życia, bo od tego życia zależy dostatek i rozwój rodziny.

Rodzina i chory może mieć lub nie mieć zaufania do lekarza, wolno także lekarzowi nie wyjawiać zawczasu, jak dalej kuracyę poprowadzić zamyśla. Ale na tem kończy się metafora. Od rządu programu takiego oczekujemy; dotychczasowe oświadczenia wykazują tylko dużo taktu ze strony hr. Thuna, że potrafił postawić najdrażliwszą kwestyę w ten sposób na porządku dziennym, że nawet u ludzi na nadczułość cierpiących nie wywołał animozyi, a zdołał do porzucenia czysto negatywnego stanowiska Niemców nakłonić. Jestto dalej dowodem wielkiego rozumu a odpowiada zapatrywaniom polskim na sprawę ruską, iż najdobitniej zaznaczył, że kwestya językowa nie może być załatwioną przez jedną polityczną partyę, przez większość, ale muszą być także uwzględnione i zawarowane prawa mniejszości, musi przyjść do skutku kompromis. Jest wreszcie dowodem pewnej stanowczości i silnej ręki, że rząd z góry się zastrzegł, iż aż do dojścia kompromisu do skutku rozporządzenia barona Gautscha będą utrzymane w mocy; punkt to nader ważny, może nawet wogóle naważniejsza z uczynionych dotąd przez hr. Thuna enuncyacyj, a budząca w nas zaufanie, jako pierwszy dowód tej »Autorität«, którą szef gabinetu w pierwszej swej mowie zapowiadał, a która dziennikarzom do tylu ironicznych uwag dała powód.

Przewidzieć niepodobna, czy te usiłowania doprowadzą do pożądanego rezultatu. Skoro jednak wszystkie stronnictwa — z wyjątkiem nieprzejednanej, ale też na żadne uwzględnienie nie zasługującej partyi Schönerera — zgodzą się na pewne zbliżenie w komisyi językowej, zdaje się być prawdopodobnem, że niezależnie od starć w tej komisyi, która przez długi bardzo czas obradować może, nie będzie powstrzymaną przez obstrukcyjne nawyknienia praca ustawodawcza, tak zwłaszcza na polu socyalnem konieczna, a w której rząd tak ogólnikowo zapowiada swój współudział. I to już jest jak na nasze stosunki wiele.

Gdyby zaś prace komisyi nie doprowadziły do rezultatu, zapowiada rząd, że ujmie tę sprawę we własne ręce. Nasuwa się nam uwaga, że zapowiedź ta w luźnym bardzo pozostaje związku z zasadniczem zapatrywaniem szefa gabinetu, iż kwestya językowa powinna być uregulowaną w drodze ustawy, a nie w drodze rozporządzenia. Bo jeżeli się rozbiją próby kompromisu w komisyi, to nie dlatego, że pewien projekt wyjdzie z inicyatywy posłów czeskich lub niemieckich, ale dlatego, że co do kwestyi merytorycznej, co do kompetencyi i treści ustawy nie będzie porozumienia. Obojętną zaś jest rzeczą ta czysto zewnętrzna okoliczność, że przedłożenie będzie w końcu wniesione przez rząd, skoro nie o formalną, ale o materyalną stronę spór się będzie toczył. Mimo więc owej zapowiedzi przypuszczamy, iż na bardzo prawdopodobny wypadek rozbicia się układów w komisyi językowej, także obecny rząd przewiduje możliwość wydania nowych rozporządzeń językowych, które o tyle tylko mają większe szanse powodzenia, iż z obrad komisyi się okaże, jak daleko gotowe są strony spór wiodące uczynić przeciwnikowi koncesye. Potwierdzi to tylko słuszność naszych zapatrywań na czysto przedwstępny charakter prac komisyi.

Jakkolwiek ostatecznie ta sprawa się zakończy, tyle nie może ulegać wątpliwości, że u wszystkich ludzi pracy coraz bardziej uwydatniać się musi przekonanie, że co najmniej w mieszanych okręgach znajomość obu języków jest konieczna i że z całą usilnością do pracy w tym kierunku nawoływać potrzeba. Tymczasem zaś biją wszyscy Niemcy brawa księciu Liechtensteinowi za mowę, w której tenże bohater przedmieść wiedeńskich dochodzi na podstawie geografii do wręcz nielogicznego wniosku, że w państwie z tylu narodów złożonem niemiecki język ma być państwowym, ale nikt nie powinien być zmuszonym do używania drugiego języka i że w tym celu należy mieszane okręgi przez komasacyę ujednostajnić. Nie zazdrościlibyśmy Niemcom, gdyby wobec żywotności i ekspanzywnej siły Czechów ta germańska teorya, tak brutalnością bliska geometryi wyborczej pruskiej, miała być urzeczywistnioną! Najsilniejszy nawet naród nie może pod groźbą samobójstwa zamykać się na wpływy narodów ościennych; niechaj twórcy niemieckiej Gemeinbürgschaft wezmą sobie do serca słowa swego genialnego rodaka: »Die Aufnahme von aussen verwehren und den Organismus zur Entwicklung von innen heraus verurtheilen, heisst ihn tödten: die Entwicklung von innen heraus beginnt erst bei der Leiche«.

X. X.

PANSTWO PRZYSZŁOŚCI.

I.

Redakcya trójjęzycznego miesięcznika »*Cosmopolis*« wpadła na pomysł równoczesnego umieszczenia w numerze styczniowym b. r. artykułów angielskiego, francuskiego i niemieckiego o socyalistycznym państwie przyszłości z pod pióra socyalistycznych autorów, poczem ogłoszono trzy odpowiedzi, pisane z indywidualistycznego (jak redakcya mylnie zapowiada) punktu widzenia. Pomysł dobry, ale w wykonaniu spaczony. Redakcya zwróciła się do ludzi z głośnymi nazwiskami, a z pośród socyalistów uwzględniła wyłącznie wyznawców teoryi Marxa. Otóż jak wiadomo, obecnie także i młodzi zwolennicy autora »Kapitału« doszli do wniosku, że teorye jego twórcy nie dadzą się utrzymać w całej rozciągłości, że zatem zachodzi niezbędna potrzeba wytworzenia innych podstaw teoretycznych dla socyalizmu, próbują więc zapomocą przeróbek, drobnych zmian podeprzeć walącą się budowę. Ludzie jednak zaproszeni przez redakcyę »*Cosmopolis*« do opracowania tego tematu należą do starszych generacyi, trudno żądać od nich szukania nowych dróg, dla nich Marx jest jeszcze nieomylnym przewodnikiem — stąd ten dziwny wynik, że aktualny pomysł redakcyi nie wywołał aktualnego postawienia i opracowania kwestyi, przeciwnie w artykułach, które mam zamiar streścić, spotykamy się przeważnie z polemiką, której każda faza jest nam aż nadto dobrze znaną. Oczywiście zarzut ten nie jest równie prawdziwym wobec każdego z tych artykułów, zacznijmy od rozprawy Liebknechta, ponieważ na jej podstawie najłatwiej go uzasadnić.

Są u nas jednostki, dla których podział stronnictw politycznych wywołany wypadkami r. 1863 jest jeszcze dotychczas miarodajnym, żyją dotychczas jeszcze myślami Szujskiego, przystosowanymi do owych czasów. Cały świat wokół zmienił się, a oni piszą i mówią językiem dla współczesnych coraz to mniej zrozumiałym — podobnie osiwiały w boju Liebknecht, poza Marxem niczego nowego się nie nauczył, powtarza frazesa, które niegdyś porywały niemieckich robotników, a przed oczami przeciwników zapalały widmo rewolucyi, które dziś jednak nie budzą już tak silnego echa. W niemieckiej radzie państwa kilka lat temu podniesiono poważne zarzuty przeciwko możności urzeczywistnienia socyalistycznych zapatrywań na przyszłość, niemiecka literatura naukowa uznała niemal jednogłośnie państwo socyalistyczne za cel, którego osiągnięcie nie byłoby etapą postępu w rozwoju ludzkości, z tego wszystkiego zapamiętał sobie Liebknecht tylko jeden i to jeden z najsłabszych argumentów, przytoczonych w broszurze Eugeniusza Richtera. Liebknecht mierzy zdaje się wartość dowodów w książkach zawartych tą samą demokratyczną miarą, którą niegdyś posługiwał się Bebel podczas owej pamiętnej dyskusyi w niemieckiej radzie państwa, przytaczał wówczas z dumą, że jego utopia »der Sozialismus und die Frau« rozeszła się w setkach tysięcy egzemplarzy i doczekała się tłumaczenia na kilkanaście języków. »*Wieniec* i *Pszczółka*« ma niewątpliwie więcej prenumeratorów, jak »*Atencum*« — nie wszyscy jednak wyciągną z tego wniosek, że »*Wieniec* i *Pszczółka*« jest mądrzejszy lub użyteczniejszy od »*Ateneum*«. L. jednak polemizuje przeważnie z Richterem (i to w czasopiśmie nie przeznaczonym dla szerokich warstw) prawdopodobnie dlatego, że jego broszura antisocyalistyczna, napisana również w formie opowiadania z dziejów przyszłości, doczekała się także licznych wydań. L. stara się ośmieszyć swego przeciwnika chwytaniem się szczegółów. Zewnętrznym powodem upadku gabinetu w państwie socyalistycznym, opisanym przez Richtera jest fakt, że kanclerz państwa, zajęty bardzo czynnościami swego urzędu, pocichu wynajął sobie współobywatela do czyszczenia butów. Ludek dowiaduje się o tem, obrażone poczucie równości wyładowuje się ostatecznie rewolucyą, która pociąga za sobą upadek całego systemu. Jest rzeczą oczywistą, że w razie gdyby system był dobrym, drobnostka tego rodzaju nie zdołałaby nim wstrząsnąć. Trudno dziwić się socyalistycznym pismom humorystycznym, które skorzystały z dobrej sposobności okazania swym czytelnikom jakimi to argumentami walczą ich przeciwnicy, ale mamy prawo wymagać poważniejszej polemiki od naczelnika stronnictwa.

W łatwy, ale niezbyt przekonywujący sposób radzi sobie L. z innymi argumentami. Zapytywano niejednokrotnie w jaki sposób odbędzie się przejście z obecnego ustroju społecznego do kolektywistycznego. L. oburza się i uważa za nadzwyczaj śmieszną myśl żądania od niego szczegółowego obrazu przyszłości, »nie jestem przecie prorokiem« pisze. Jestto — zapewne nieświadomym — przekręceniem pytania, nie chodzi o szczegółowy obraz przyszłości, krytykując jednak istniejące stosunki, stawiając pewne postulata na przyszłość, trzeba przecie zdać sobie sprawę ze sposobów i możliwości ich urzeczywistnienia. »Bei Reformen und Rewolutionen ist das Wegräumen der Hindernisse die Hauptsache. Für den Rest sorgt die lebendige Kraft«. Tym sposobem obawy o przyszłość może pozbyć się zwolennik nieograniczonej wolnej konkurencyi, ale nie kolektywista pragnący zcentralizowania całego organizmu produkcyjnego. Zniszczenie tego, co jest, nie wystarcza, dajmy na to, że pewnego pięknego poranku uda się wytruć lub skłonić do dobrowolnego usunięcia się wszystkich kapitalistów, a wówczas przeszkód nie będzie, mimo tego okaże się potrzeba zastąpienia kapitalistów.

Jeśli wobec tego Wagner w swej odpowiedzi pisze o naukowym poziomie socyalizmu »der durch Männer

---

JULIUSZ MAKAREWICZ.

POGLĄDY SOCYOLOGICZNE ANATOLA FRANCE'A.

(Dokończenie — Patrz Nr. 8 »Ruchu Społecznego«).

III.

W poglądach społecznych France'a niepoślednią rolę odgrywają zapatrywania na istotę i cele kary — są tam myśli kryminalnopolityczne często głębokie — nie nowe oczywiście, gdyż w dziedzinie t. zw. filozofii prawa karnego trudno dziś powiedzieć coś nowego, każde ujęcie kwestyi rzekomo nowe, przy bliższem zbadaniu wygląda na oddźwięk czegoś już dawniej lub niedawno powiedzianego lub napisanego.

Punktem wyjścia w tej materyi musi być zawsze rozstrzygnięcie pytania, co jest sprawiedliwem i słusznem, bo w ślad za tem idzie odpowiedź jako rozwiązanie zagadnienia: za co i jak należy karać.

France sprowadza sposobem nowożytnym sprawiedliwość ludzką do społecznego interesu, twierdząc, że o tem, co jest dobrem lub złem rozstrzyga interes i to nawet czysto materyalny obywateli państwa, że wyraz sprawiedliwy należałoby zastąpić wyrazem użyteczny, przyczem nie zapomina o znaczeniu i wpływie przesądu na wypełnienie tego pojęcia [1]).

Jak często, tak i tu zaznacza się pewna ekscentryczność naszego autora polegająca na akcentowaniu myśli bardzo ostrem, i na tem, że idzie za daleko, jak gdyby dlatego, by myśl swą lepiej uwypuklić. Zamiast zaznaczyć pożytek w ogólności, mówi o pożytku wyłącznie materyalnym, zamiast wspomnieć, że istnieją dobra społeczne moralnej także natury, których bronić trzeba, mówi o korzyściach materyalnych obywateli.

Po tem zastrzeżeniu zgodzić się można na zdanie, że społeczeństwo reaguje tam silniej, im bardziej jest dotknięte, że nie tyle zwraca uwagi na zepsucie natury danego osobnika, na jego złą wolę i ogólną deprawacyę, ile na to, jakie dobro społeczne szwank poniosło i jak wielką jest szkoda lub niebezpieczeństwo dla społeczeństwa. Dobrze wybranym jest przykład fałszerstwa monet, samego w sobie mało rażącego nasze poczucie etyczno-estetyczne a mimo to tak surowo karanego

[1]) Les. opin. 262—263 La justice a pour objet non le juste mais l'utile et elle s'inspire seulement des interêts et des préjugés des peuples... Il convient de ramener la justice humaine à son véritable principe qui est l'interêt materiel des citoyens et de la dégager de toute la haute philosophie dont elle s'enveloppe avec une pompeuse et vaine hypocrisie...

wie Liebknecht und Bebel in immerhin achtbarer Weise vertreten wird«, wówczas mimowoli przychodzi na myśl znany psychologiczny nastrój niejednego profesora uniwersytetu, który nie pali przy egzaminie ucznia głośnego ze skrajnych zapatrywań i politycznych występów, choć nic nie umie, gdyż obawia się zarzutu stronniczości.

Wagner sam przecie zaznacza, że odpowiedź jego jest tylko streszczeniem poprzednich prac nad tym samym przedmiotem, które nie doczekały się poważnej odpowiedzi ze strony socyalistycznej, a które zawierają w sobie szereg zarzutów, zupełnie przez Liebknechta nie uwzględnionych. Ta nieznajomość lub to nieuwzględnienie literatury może uchodzić za naukową metodę tylko wobec wyborców berlińskich. Zresztą teorya Marxa przybrała zupełnie dogmatyczny charakter w Niemczech, wyklęcia heretyków są przecie na porządku dziennym — gdzież tu swoboda krytyki naukowej?

Wagner zwalcza poglądy L. trzema głównymi zarzutami: twierdzi, że państwo nie może brać na siebie obowiązku należytego opiekowania się wszystkimi członkami społeczeństwa bez prawa wpływania na liczbę członków społeczeństwa, co ewentualnie pociągnęłoby za sobą wielkie ograniczenie wolności osobistej. — Organizacya państwa przyszłości wymagałaby ludzi zupełnie innych o wiele lepszych jak obecnie, a wreszcie jest technicznie niemożliwą rzeczą skupić w jednym ręku olbrzymi nowoczesny proces produkcyi.

Polemika ta wywołała w marcowym numerze »*Cosmopolis*« dwa listy otwarte Rudolfa Sohma i Bernsteina. Uczony historyk prawa zwraca uwagę na rozdźwięk między teoryą a stronnictwem socyalistycznem, ostrzega przed mniemaniem, jakoby wykazanie mylności doktryny Marxa mogło powstrzymać rozwój socyalizmu, który opiera się przeważnie na nienaukowo myślących warstwach.

Bernstein przypomina swój artykuł w »*die Neue Zeit*«, który zajmuje się zarzutem psychologicznym Wagnera. Bernstein przyznając częściowo słuszność temu zarzutowi, zrzeka się szybkiego i radykalnego przeprowadzenia kolektywizmu.

Przedstawiciel francuskiego socyalizmu Jean Jaurés nie zdaje się być bardzo przewidującym politykiem lub dobrym znawcą literatury socyalistycznej. Gdyby wiedział, ile złośliwych dowcipów wywołała przepowiednia jednego ze zwolenników Marxa, który r. 1898 uważał za początek ery socyalistycznej, byłby może się wstrzymał z twierdzeniem, że kolektywizm za lat dziesięć tryumfować będzie. Ostrożniejszym był Liebknecht pisząc, że kwestya socyalna doczeka się rozwiązania w XX-ym w. Chcąc swe twierdzenia uprawdopodobnić, Jaurés stara się zatrzeć znaczne różnice między francuskimi socyalistami, które doprowadziły do głośnej scysyi na międzynarodowym kongresie londyńskim. Chodzi tu głównie o spór między zwolennikami akcyi politycznej, a jej przeciwnikami, którzy widzą tylko w syndykatach jedyny uprawniony sposób obrony praw robotnika. Nawet wśród anarchistów dostrzega słynny retor parlamentu francuskiego pewne zbliżenie się do kolektywizmu.

Jaurés akcentuje silnie sprzeczność między powszechnem głosowaniem, które jest równouprawnieniem politycznem, a systemem kapitalistycznym i systemem ekonomicznej nierówności. Autor widzi walkę między tymi dwoma sprzecznymi pierwiastkami, której szala przechyli się na korzyść hasła równości. Czy walkę rozstrzygnie rewolucya zdołu?

Podobnie jak Liebknecht tak i Jaurés, w którym tkwią dawne tradycye rewolucyjne, nie odrzuca zasadniczo możliwości rewolucyi, lecz twierdzenie, że powszechne głosowanie może wytworzyć większość socyalistyczną, świadczy o przechyleniu się na stronę zwolenników pokojowej ewolucyi. Autor dostrzega już teraz pierwiosnki przyszłej ery, są to wprawdzie tylko twory przejściowe, niedoskonałe, ale bądź co bądź zwiastują nam lepszą przyszłość.

Trudnoby było rozstrzygnąć pytanie, czy dobrze

ze względu na interes ogólny a w szczególności, jak podnosi France, interes finansistów [1]).

France występuje z ostrą krytyką zasady Ulpiana: *justitia est suum cuique tribuere*, wychodząc z założenia, że człowiek przychodząc na świat nie przynosi niczego, coby było jego własnem. Zapomina o jednem, że przez *suum* nie należy rozumieć koniecznie dóbr materyalnych lub stanowiska społecznego, lecz także wartość i siłę moralną. Gdybyśmy nawet wykluczyli zdrowe podstawy dzisiejszego porządku społecznego: własność indywidualną wraz z dziedziczeniem i związki rodzinne, to jeszcze zostanie osobista dzielność mierzona użytkiem społeczeństwa, lub osobisty brak podstaw etycznych — będzie to zawsze *suum* w dodatnim lub ujemnym kierunku — będą to aktywa lub passywa moralne danej jednostki. Sprawiedliwość społeczna z tym bilansem czynnym lub biernym liczyć się musi — France przez nadanie wyrazowi *suum* znaczenia własności dóbr ziemskich, dopuścił się sofizmatu i ułatwił sobie zadanie.

Jeszcze dalej posunął się w ekscentryczności przy obszerniejszem rozwinięciu swej myśli — w twierdzeniu Proudhonowskiem, iż ustawa i sprawiedliwość zapewniają tylko posiadanie »łupów« dziedzicznych lub własnych, a więc, że to, co posiadamy, jest tylko owocem rabunku i kradzieży.

[1]) Les fautes sont punies non point en proportion de la malignité qui y est attachée, mais en vue du dommage qu'elles causent ou qu'on croit qu'elles causent à la société (Les op. 202).

Nie mamy zamiaru wdawać się w krytykę adagium Proudhona, którego błąd polega na generalizowaniu wypadków wyjątkowych, lecz uderzać nas musi łatwość z jaką pogląd ten może się szerzyć — jestto stanowisko ciekawe psychologicznie. Kwestya ta przypomina mi jednak spostrzeżenie, nie wiem już czyje, o stosunku życia ekonomicznego Ameryki do europejskiego; powiedziano, że w nowym świecie wszyscy zdążają do zrobienia majątku przez wytwarzanie nowych dóbr, zajmowanie i eksploatacyę nowych obszarów — inaczej w starym świecie: tu ludzie wytężają swe siły — by z cudzej kieszeni przelać złoto do własnej — choćby z tego względu, że stan posiadania ziemi do uprawy zdolnej nie może się zmienić co do areału, tylko co do osób posiadaczy.

To zabieranie sobie i wydzieranie dóbr ziemskich miał może France na myśli, kiedy pisał, że zadaniem ustaw jest zapewnić tylko spokojne używanie owocu odziedziczonych lub własnych — łupów.

Z tem zastrzeżeniem można przyjąć porównanie społecznej roli ustaw do tego momentu w grach dziecinnych, w którym się mówi — zabawa skończona, już nic można odebrać tego, co się straciło: »ce n'est plus de jeu« [1]).

Jeszcze zabawniejszą niż *suum cuique* wydaje się France'owi, tym razem zupełnie słusznie, inna maxyma bę-

[1]) Les opin. 264.

zrobił Jaurés rozpisując się szeroko o robotniczej hucie szklanej (Verrerie Ouvriére) w Albi, gdyż gdyby był nie przytoczył tego przykładu, byliby go przytoczyli jego przeciwnicy jako dowód nieudolności administracyjnej przedsiębiorstw, których naczelnikiem nie jest właściciel, jednostka bezpośrednio zaangażowana w wysokości zysku.

Niedawno Maurice Talmeyer w jedym z tegorocznych styczniowych czy lutowych zeszytów »*Revue des deux mondes*« dał nam smutny obraz położenia robotników zatrudnionych w tej fabryce. Wypłata płac nieregularna, nepotyzm w zarządzie, regulamin fabryczny znacznie ostrzejszy jak w przedsiębiorstwach kapitalistycznych, wielkie zapasy niesprzedanego towaru — oto skutki wojny z p. Resseguier. Mimo tego Jaurés spodziewa się powodzenia robotniczej huty szklanej, nie mamy powodu patrzeć z zawiścią na losy tego eksperymentu, z chwilą, gdy robotnicy potrafią sami sobie dać radę, racya bytu systemu kapitalistycznego upada, ale czy ewentualne, bardzo wątpliwe moim zdaniem, powodzenie próby w Albi »attestera avec force que la société est prête pour une forme nouvelle de la propriété et du travail«? Temu stanowczo przeczę, robotnicza huta szklana w Albi jest tylko odrębnym [1] rodzajem stowarzyszenia produkcyjnego, opartym na zasadzie d o b r e j w o l i. Natomiast w przyszłem państwie socyalistycznem rząd będzie miał prawo nieopiekowania się tym, który nie spełni wyznaczonej mu pracy, ewentualnie nawet użycia przymusu. Prawda — socyaliści zastępują wyrazy: państwo i rząd, słowami społeczeństwo i administracya, ale ta zmiana nomenklatury jest tylko przyznaniem się do rewolucyjnego rodowodu, pokłonem przed autorytetem przeszłości; socyaliści nie logicznie, ale psychologicznie i historycznie są związani z tradycyami rewolucyi francuskiej i r. 1848 (manifest komunistyczny — udział osobisty Marxa w owoczesnych wypadkach), a zatem wyrazy: »państwo i rząd« wywołują w nich niemiłe wspomnienia, przez to jednak nie zmienia się istoty rzeczy, charakterystycznem znamieniem państwa jest możność przeprowadzenia przymusowego swej woli zapomocą swych organów, tworzących właśnie rząd, z chwilą zaś, gdy Bebel przyznaje wyraźnie w swej utopii te same uprawnienia administracyi społeczeństwa socyalistycznego, wówczas może tylko rozchodzić się o to, czy ta zmiana nomenklatury jest tumanieniem siebie i wyborców, czy też tylko wyborców. Bebel pociesza nas nadzieją udoskonalenia administracyi do tego stopnia, że wszystkie życzenia obywateli co do wyboru zajęcia będzie mogła uwzględnić — ale wyjątki (?) są.

Wobec tego trudno zrozumieć Jauresa, który wmawia w czytelników, że wbrew utartej opinii dopiero państwo socyalistyczne da możność pełnego rozwoju inicyatywie jednostki. Słusznie zapytuje Paweł Deschanel, jak potrafi zapewnić J. dobre funkcyonowanie aparatu produkcyjnego, którego w tych rozmiarach świat jeszcze nie widział, bez użycia przymusu, ewentualnie jak ów przymus pogodzić z wzrostem wolności indywidualnej.

Wiceprezydent izby francuskiej zrobił czytelnikom »*Cosmopolis*« niespodziankę formą artykułu.

Inni pisarze nawet Wagner i Mallock, uczeni z zawodu, zaproszeni przez redakcyę do współudziału w ankiecie starali się nadać wywodom swym formę przystępną, nieprzeładowaną naukową erudycyą. Parlamentarzysta francuski natomiast nie szczędzi w swym artykule cytatów, mimo tego, a może właśnie dlatego rozprawa ta nie dorównuje mowie przeciw socyalizmowi ogłoszonej

[1]) Zazwyczaj przez stowarzyszenie wytwórcze rozumiemy przedsiębiorstwo którego udziały są własnością pracowników w przedsiębiorstwie zatrudnionych, natomiast właścicielem robotniczej huty szklanej w Albi jest zorganizowany proletaryat t. j. syndykaty robotnicze odpowiadające angielskim trades-union. J. uważa rozszerzanie tej formy własności za przygotowanie terenu dla kolektywizmu.

dąca jakby karykaturą tamtej: to jest, że karząc przestępcę oddajemy mu przysługę, gdyż oddajemy mu to, co mu się należy [1]).

Teorya odpłaty w tej swej konsekwencyi wygląda po prostu na nieudały żart.

France godzi się na odpłatę tylko w formie najpierwotniejszej zemsty — ta postać jest przynajmniej psychologicznie uzasadniona, tkwi w naturze ludzkiej, w chęci wywarcia wściekłości na tym, który nam wyrządził przykrość; L'abbé Coignard opowiada anegdotę o człowieku, który okradziony przez służącą kazał z jej skóry zrobić sobie spodnie i przypominając sobie krzywdę odniesioną, bił się po udach wołając: »A łajdaczko, złodziejko« [2]).

Jeżeli mamy być jednak teoretykami i szukać racyonalnych podstaw kary: to niech celem jej będzie odstraszenie, — niech kara będzie przykrością i postrachem, lecz nie nagrodą za zbrodnię, społeczeństwo niech ma prawo, lecz nie obowiązek karać.

Na dowód, że za punkt wyjścia sprawiedliwości społecznej służy wzgląd na dobro społeczne, powołuje France stosunek kodeksu karnego wojskowego do ustawy karnej stanu cywilnego. Policzek wymierzony współobywatelowi a czynna zniewaga wojskowego przełożonego — jakie odmienne pociąga za sobą następstwa! Oburzają France'a surowe kary wojskowe, twierdzi, że jestto barbarzyństwo, którego wstydzić się przyjdzie wobec wieków przyszłych [1]). Czyż jednak oburzenie to jest konsekwentnem? jeżeli raz przyjmiemy, że społeczeństwo przy wymierze kary trzyma się zasady ochrony dóbr społecznych i reaguje tem silniej, im większą jest szkoda, cóż naturalniejszego, że broni zasady subordynacyi i hierarchii wojskowej, tej *conditio sine qua non* ustroju i istnienia armii. France się myli, jeżeli sądzi, że policzek jest błahostką według ustaw świata cywilnego — i tu, jeżeli chodzi o ochronę czynnika władzy, inne zasady i kary wchodzą w zastosowanie.

Ustęp o sądach jest wprost przykry: talent France'a genialnego wyszukiwania cieniów i plam uwydatnia się tu w całej pełni: »sędziowie (a ma on głównie na oku sędziów karnych) nie zgłębiają dusz ludzkich do dna i nie czytają w sercach, ich sprawiedliwość jest grubo ciosana i powierzchowna.« [2]) Zarzut to stary, silnie go uwypukliła szkoła włoska w swym kierunku antropologicznym, a przejęła w ogóle szkoła nowa prawa karnego zwracająca uwagę na przestępcę, — nie zaś wyłącznie na przestępstwo.

Tak France, jak teoretycy nowego kierunku zapo-

[1]) Prétendre qu'on doit l'expiation aux criminels, c'est tomber dans un misticisme féroce, pis que la violence nue et que la simple colère (Les op. 269).

[2]) Les op. 268—269.

[1]) Ib 2[illegible]

[2]) Les juges ne sondent point les reins et ne lisent point dans les coeurs aussi leur plus juste justice estelle rude et superficielle (Les op. 278).

w »*Revue politique et parlamentaire*«, którą mniej więcej rok temu Deschanel wypowiedział w Carmaux; przyczyną tego jest zapewne wciśnienie zbyt wielkiego materyału w ramy kilkudziesięciu stronnic. Pomijając dzieje doktryn socyalistycznych w XIX-ym w. zaznaczyć wypada, że Deschanel aczkolwiek zwalcza teorye Marxa, przecież nie staje na stanowisku liberalnem i nie żąda możliwie najdalej sięgającego ograniczenia władzy państwa. Źródła reformy socyalnej nie widzi jednak przeważnie w inicyatywie rządu, lecz woli oprzeć się na dobrowolnej assocyacyi, przyznaje się zatem do kierunku, którego przedstawicielem jest Gide we Francyi, a Lujo Brentano w Niemczech.

Wszyscy autorowie, których redakcya zaprosiła do zabrania głosu imieniem socyalizmu są Marxystami pełnej krwi, każdy z nich czuje zatem potrzebę zaznaczenia wzorem Engelsa, że kolektywizm ich mistrza niema nic wspólnego z utopiami dawniejszych czasów; zdaje mi się jednak, że przedstawiciel Anglii H. M. Hyndman ma więcej prawa do tego zastrzeżenia, jak inni, czytając jego artykuł nie traci się łączności z otaczającą nas rzeczywistością. przypisać to należy zapewne temu, że autor dowodzi korzyści upaństwowienia środków produkcyi przykładami. Uważa za pierwsze kroki w kierunku kolektywizmu upaństwowienie kolei, a potem kopalni węgla, przypomina to stanowisko Wagnera, który przemawia za objęciem przez państwo lasów, oraz gruntów miejskich, oczywiście z tą różnicą, że zdaniem Hyndmana te pierwsze kroki są tylko wstępem do zupełnego kolektywizmu, którego potrzebę autor między innymi uzasadnia koniecznością lepszego wychowania młodzieży, proponuje zatem szereg środków, zmierzających już obecnie do zapewnienia państwu większego wpływu na szkolnictwo. Także i Liebknecht w swym artykule kładzie nacisk na reformy pedagogiczne mając na myśli w pierwszym rzędzie kwestye wykształcenia i to przyrodniczego, natomiast H. chodzi głównie o zaniedbanie wykształcenia fizycznego. »That a population which is physically deteriorated or badly educated affords a most unpromising field for Socialist propaganda, has long since been fully admitted« — zapatrywanie to, którego bronił swego czasu Schoenlank Bruno w swym lipskim organie, zasługuje dlatego na uwagę, że dawniej w mowach parlamentarnych i broszurach agitacyjnych ciągle walczono argumentem o coraz to biedniejszych robotnikach i przeciwstawiono ich coraz to bogatszym kapitalistom, potem spostrzeżono się, że płaca robotnika i to nietylko nominalna niewątpliwie poprawia się, pocieszano się jakoby jeszcze szybszym wzrostem zysku kapitalisty, ale i to twierdzenie z czasem okazało się mylnem.

Artykuł Hyndmana zawiera jednak jeszcze i inne herezye. W ustach socyalisty cennem jest wyznanie [1], że postęp zawdzięczamy inicyatywie wyższych warstw społeczeństwa — rozpowszechnienie tego mniemania rozwiałoby niejedną szkodliwą iluzyę demokratyczną, materyalistyczna historyozofia występuje u Hyndmana w złagodzonej formie, wedle niego stosunki ekonomiczne są najważniejszym, ale nie jedynym czynnikiem rozstrzygającym o ustroju społeczeństwa. W tej formie materyalistyczną historyosofię możnaby także odszukać w pismach Schmollera.

Długo rozwodzi się autor nad zbadaniem pytania, dlaczego klasyczna ojczyzna przemysłu fabrycznego, tak mało dotychczas okazała skłonności socyalistycznych, dlaczego Londyn wybiera do izby gmin zwolenników reakcyi, podczas gdy wielkie stolice usposobione są niemal bez wyjątku rewolucyjnie. Wylicza długi szereg przyczyn: wpływ religii, brak przymusu szkolnego, silna organizacya stowarzyszeń robotniczych, lepsza, jak gdzie-

[1] »There are others again, who regardless of the truth that nearly all the most important work of socialism has been done by men of the well to-do classes, continually urge, that the workers can only be emancipated by the workers themselves«.

minają jednak o jednym szczególe: Sędzia wyrokujący chcąc zgłębiać dusze i czytać w sercach musi mieć sposobność zapoznania się z daną indywidualnością — musi mieć ją w obserwacyi, jak lekarz szpitalny a nawet dłużej niż lekarz, bo dyagnoza choroby ducha cięższą jest od rozpoznania choroby ciała. Gdzież on te studya ma odbywać? jeżeli winowajca pozostaje w zamknięciu — obserwacya jest teoretycznie możliwą choć i tak jednostronną, bo tylko na tle murów więziennych; odpowiadający z wolnej stopy zjawia się jak wielki znak zapytania na godzin parę — wyrobienie sobie o nim sądu — jest poprostu kwestyą intuicyi, znajomości ludzi płynącej z doświadczenia — w końcu przypadku — nigdy nie może być owocem obliczenia i spokojnego badania. Zarzut France'a — streszczający wywody nowej szkoły, może słuszny — jest bez praktycznego znaczenia; zresztą udziałem ludzi i ludzkich sądów była, jest i będzie — niedoskonałość.

France idzie dalej — atakuje zastosowywanie ścisłe ustawy — »nie ma umysłu cokolwiek myślącego i wolnego, któryby nie czuł tego czynnika zmurszałości w ustawach podczas, gdy sędzia nie ma prawa tego czuć« [1]. Ztąd zarzut: sędzia stosuje ślepo ustawy przestarzałe, nie odpowiadające danym stosunkom. Zapewne, że lepiejby było, gdyby ustawy mogły jak fotografia dokładnie odbijać chwilowy stan społeczny i utrzymywać czucie z potrzebami danej chwili, — jeżeli jednak ciągła zmiana ustaw wyraża niepewność i chwiejność judykatury — to znów pozostawienie sędziemu swobody oceny o ile ustawa jest na czasie i możności wyboru między zastosowaniem jej lub jej zupełnem pominięciem — ewentualnie zastąpieniem dowolną nową zasadą byłoby negacyą największej zdobyczy państwa praworządnego: ujęcia wymiaru sprawiedliwości w karby stałych i powszechnie znanych norm, byłoby wprowadzeniem dowolności i samowoli tam, gdzie stałość i jednolitość musi panować.

Co więcej — France napada na ustawy same: »ustawy są dziełem ludzkiem — źródło powstania ich jest więc mętnem i lichem, są przeważnie dziełem przypadku. Nieświadomość, przesąd, duma panującego, osobisty interes prawodawcy, kaprys wreszcie, oto źródło tych wielkich kodeksów prawnych, które stają się tem więcej nietykalnemi i czczonemi, im mniej są zrozumiałemi. Otaczająca je ciemność, zwiększana przez komentatorów nadaje mu charakteru starożytnych wyroczni.

Słyszymy dziś skargi, że ustawy są dziełem przypadku i zbiegu okoliczności — krótkowidz tylko może nie widzieć, że tak działo się od czasów niepamiętnych, że kodyfikacye były zawsze owocem przypadku. Skarżymy się na sprzeczności i niejasność ustaw — a zapominamy, że dawniejsze nie były ani jaśniejsze, ani mniej pogmatwane« [1].

[1] Les opin. 179.

[1] Les opin. 285.

indziej jakość warstw rządzących i t. d., pociesza się jednak szeregiem oznak, świadczących o zmianie na lepsze, o powolnym, ale pewnym postępie doktryn Marxa, których Hyndman jest jednym z najgorliwszych apostołów w Anglii.

Zdaniem W. H. Mallocka, wyniki do których doszedł Hyndman opierają się na teoryi Marxa i polemika z nią stanowi niemal wyłącznie treść odpowiedzi Mallocka, nawiasem mówiąc jestto tylko wyciąg z obszerniejszej książki, która w najbliższym czasie wyjdzie z druku. W poszukiwaniu teoryi, wyłącznie właściwej systemowi socyalistycznemu dochodzi autor do wniosku, że chodzi tu o system produkcyi, dający tosamo wynagrodzenie przyczyniającym się najwięcej do wyprodukowania ogółu dóbr społeczeństwa potrzebnych, co i tym, którzy najmniej współdziałają w rozwiązaniu tego zadania. Cały postęp wytwórczości, coraz to większe zdolności produkcyjne pracy ludzkiej zawdzięczamy stosunkowo nielicznemu gronu wynalazców, twórców maszyn, praca ręczna bez ich ciągłego kierownictwa, bez ich nieustannej inicyatywy nie mogłaby poszczycić się ciągłym wzrostem wytwórczości, nie można zatem twierdzić, że wyłącznie praca (i to ręczna) stanowi w ostatniej instancyi o wartości dóbr. W przyszłem państwie socyalistycznem udoskonalenia techniczne odgrywają ogromną rolę, bez nich wszystkie piękne plany skrócenia czasu pracy do czterech, pięciu godzin są tylko marzeniem. Jak jednak zapewnić sobie współpracownictwo owej drobnej garstki wyjątkowych inteligencyj, jeśli nie będzie się ich wyjątkowo wynagradzało? wynagrodzenie wymierzane wedle czasu pracy nie wystarczy, a do zrobienia wynalazku nie można odkomenderować pierwszego lepszego towarzysza.

Przecenianie znaczenia pracy mechanicznej, ręcznej, brak zrozumienia dla roli przedsiębiorców w procesie wytwórczym i dla, na tej roli opartego, zysku przedsiębiorcy, wreszcie zapoznanie indywidualnej korzyści, jako sprężyny pracy ludzkiej [1] — oto zarzuty, które niejednokrotnie podnoszono przeciwko teoretykom socyalistycznym, a które stanowią tło wywodów Mallocka. Oryginalność poglądu angielskiego uczonego polega na tem, że zrobił z tej kwestyi podstawę kolektywistycznych zasad i znamię odróżniające doktrynę Marxa od wszelkich innych systemów ekonomicznych — Mallok bada tylko ekonomiczną stronę socyalizmu. Można nawet określić stanowisko jego jako odwrócenie zapatrywań socyalistycznych na kwestyę, kto właśnie jest wytwórcą towaru, wedle Malloka są nimi niemal wyłącznie przedsiębiorcy, wedle zwolenników Marxa robotnicy z wykluczeniem przedsiębiorców. Bądź co bądź wysunięcie sprzeczności między tymi dwoma poglądami na pierwszy plan i uważanie jej za istotę sporu o możliwość urzeczywistnienia kolektywizmu jest poglądem oryginalnym w pewnej mierze, zasługującym w wysokim stopniu na uwagę. *A. K.*

[1]) To też Liebknecht z naciskiem zaznacza: der Trieb zur Arbeit bedarf keines künstlichen Stachels — ustęp to charakterystyczny, socyaliści rozumieją zdaje się, że wraz z tą psychologią upada ideał pań- [illegible]

W tej Jeremiadzie znika już France uśmiechnięty, podający swą pogardę i lekceważenie ludzi i ich tworów w formie lekkiej i pobłażliwej, tu zjawia się już tajona zgryźliwość — jakby odblask Rousseau'a i jego »tout dégenère sous la main de l'homme« — bo równocześnie odkrywa się podkład idealizmu; tak — France ma ten podkład: jak starzec do wszystkiego zrażony wytwarza sobie pobłażliwość, nie chcąc się u schyłku życia oburzać, — ma jednak swe chwile uniesienia swe porywy ku ideałom minionych lat wiary w możność zmiany ludzi w aniołów i sprowadzenia przedwiecznej sprawiedliwości na ziemię. Radby mieć sędziów zdolnych wydających jak w legendzie o Salomonie wyroki olśniewające słusznością a nie szablonowe, radby nie widzieć i nie znać ustaw a mimo to mieć ład i porządek, nie mieć paragrafów, lecz mieć — Sprawiedliwość... tak to piękne, bardzo piękne — marzenie.

France, gdyby nie zapomniał na chwilę swej maski uśmiechu ironicznego, byłby stwierdził, że owe ustawy normujące ludzkie namiętności i wzajemne stosunki istnieć muszą, choć wadliwe i niedokładne, bo najgorsza ustawa lepsza niż żadna.

France nie jest zwolennikiem kary śmierci, uważa ją za barbarzyństwo bezcelowe — poco używać kary śmierci, kiedy zniesienie jej nie wpływa na obniżenie moralności, ani na wzrost ilości przestępstw — tem bardziej, że nawet w tych państwach gdzie istnieje w teoryi, w praktyce się jej nie wykonuje [1]), że abolucyoniści tj. teoretyczni szermierze skreślenia kary śmierci ze spisu środków karnych zyskują we France'ie sojusznika, nie jest niczem nadzwyczajnem; że jednak dzieje się to dziś w chwili podniesienia przez nową szkołę prawa karnego hasła radykalnego oczyszczenia społeczeństwa ze zbrodniczych szumowin za pomocą gilotyny czy sznura, że książka poczytnego i zupełnie nowożytnego pisarza choć nie zawodowego prawnika zawiera myśli usunięcia tego środka, który Garofalo nazywa odświeżeniem społecznego powietrza — że wreszcie zdanie takie spotyka się u myśliciela wytrawnego, nie ideologa, — to już dziwniejsze, — nie zapominajmy jednak o jednem: France jest nietylko praktycznym znawcą stosunków społecznych, lecz jest także artystą — estetykiem — szuka piękna. Obraz ciała zawisłego wysoko w kurczowych drganiach, głowy odciętej od kadłuba broczącego krwią musiał przewijać mu się przed oczyma kiedy pisał... c'est une laideur inutile.

Zastosowanie kary śmierci może być w praktyce ograniczone do minimum — wszak mamy prawo łaski; — France'a bawi wykonywanie tego *iuris aggratiandi* przez naczelników demokracyi obieralnych przez naród. Daje mu to powód do bardzo trafnego ujęcia prawa łaski jako emanacyi czynnika boskiego, teokratycznego

[1]) Et puisque visiblement la peine de mort se meurt, la sagesse est de la laisser mourir. (Le manneqn. 209).

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Pomoc w porę.

Ministerstwo skarbu rozporządzeniem z dnia 17. lutego 1898 L. 9155 przyznało 15000 cetnarów metr. odpadków soli kamiennej (»minucyi«) celem rozdania bezpłatnie między mniejszych hodowców bydła dotkniętych w roku zeszłym klęską nieurodzaju i mających popsutą skutkiem długotrwałej słoty paszę. Sól tę prezydyum Namiestnictwa w porozumieniu z Wydziałem kraj. rozdzieliło w stosunku do ilości bydła i zachodzącej potrzeby pomocy pomiędzy 69 powiatów kraju, — zatem pomiędzy wszystkie powiaty z wyjątkiem Brzeżan, Skałatu, Tarnopola, Złoczowa i Żywca.

O tem zawiadomiło prezydyum Namiestnictwa Starostów okólnikiem z dnia 6. kwietnia 1898. L. 3438 pr. wzywając ich, ażeby w porozumieniu z wydziałami powiatowymi przyznaną na poszczególne powiaty ilość soli rozdzielili pomiędzy gminy, mając przytem na oku, »aby przy odbiorze udzielonej soli pojedynczym właścicielom bydła zapewnić jak najłatwiejszy i najtańszy transport«. Ekspedycyę soli z kopalni bocheńskiej do siedziby starostwa ma się zająć krajowe bióro solne w Bochni. Tyle okólnik z dnia 6. kwietnia 1898.

Skoro starostowie — zwłaszcza pilniejsi — porozumieli się z Wydziałami pwt. co do rozdziału darowanej soli, — nadszedł drugi dodatkowy okólnik prezydyum Namiestnictwa z dnia 16 kwietnia 1898 (L. 3830 pr.) pouczający, że wspomniane odpadki soli wydawane będą bezpłatnie z wagi magazynu soli w Bochni, jednakże koszta spedycyi i transportu ponieść muszą obdarowani albo w ich zastępstwie Wydziały powiatowe, fundusze zapomogowe itp. Polecono w szczególności starostom, ażeby koszta transportu koleją pokryli z tych funduszów, które ze skarbu państwa na zapomogi przeznaczono, — zaś co do kosztów zakupna dużych worków (po jednemu na każdy cetnar metryczny) polecono porozumieć się z Wydziałami powiatowymi.

Tak ta sprawa stoi dziś — 20. kwietnia. Wobec tego w tych powiatach, gdzie Starostwa i Wydziały powt. polecone porozumienia przeprowadzą bezwłocznie, zakupnem worków, sprowadzeniem soli i wreszcie rozdzieleniem jej między gminy zajmą się szybko — włościanie otrzymają sól udzieloną im przez Rząd na poprawę zepsutej paszy z końcem kwietnia i z początkiem maja, zatem w sam raz w takiej porze, kiedy tej zepsutej i wogóle suchej paszy, na poprawę której sól otrzymali, nie będą już mieli ani źdźbła. Z początkiem maja włościanin zwykle w większej lub mniejszej mierze żywi bydło zieloną paszą, tem więcej będzie to czynił tegorocznej wczesnej wiosny, kiedy już obecnie ruń jest zielona, a niezwykle duże oziminy będą musiały być niebawem zżynane. Bydłu żywiącemu się świeżą, młodą, zieloną paszą soli zadawać nietylko nie potrzeba, ale nawet nie wolno, gdyż występujące u niego z młodej paszy rozwolnienie zwiększy się do rozmiarów szkodliwych.

Wyjątkowy przezorny włościanin schowa więc sobie otrzymaną sól na zimę — i wówczas, — o ile mu się nie zmarnuje, — zużyje ją, nieprzezorny ogół zmarnuje ją zaraz a może nawet i bydłu swemu zaszkodzi.

---

w atrybucyach korony. Pomazaniec Boży jest zastępcą Boga w wymiarze sprawiedliwości, ma natchnienie z góry, jak zmieniać wyroki, by stosowanie litery prawa nie stało się niesprawiedliwością, lecz zwyczajny człowiek, wczoraj garbarz, jutro naczelnik Państwa, czyż nie wygląda zabawnie w tej roli natchnionego [1])

France powołuje Thiersa, który zrzekł się dyspozycyi w sprawach o łaskę na rzecz specyalnej komisyi; dodajmy, że w Anglii — kraju na wskroś demokratycznym i nowożytnym regulatyw ten sprawiedliwości znajduje się w rękach podsekretarza Stanu.

* * *

Jesteśmy u kresu poglądów France'a na społeczeństwo jego ustrój, stosunek wzajemny klas, konflikta grup społecznych kończące się krwawą walką, wreszcie reakcyę społeczną wobec czynów szkodliwych dla całości.

Można się zgadzać z Francem lub nie — przyznać mu trzeba wielkie przetrawienie i pogłębienie. — Słyszałem, jak zestawiał ktoś »nieśmiertelnego« z Nordauem — cóż za powierzchowność sądu!

Jeżeli jest dużo podobieństwa co do formy zewnętrznej świetnej, błyskotliwej — jakaż różnica w treści: dla Nordaua myśl jest przedmiotem rozrywki, igraszki, dla France'a narzędziem poważnej pracy, ztąd Nordaua poglądy są tylko paradoksami, sprzecznemi często z sobą zasadniczo, France daje skończony świato-pogląd.

[1]) Ce droit en passant du roi au président de la République a perdu son caractère essentiel et sa légitimité. (Mauu 210).

Rzecz dziwna — mam przekonanie, że na powstanie tego szarego sposobu patrzenia na ludzi i świat, wpłynęły długoletnie studya historyczne na tle różnych epok i to nie studya nad Fürsten und Schlachtengeschichte, lecz nad człowiekiem i społeczeństwem w różnych epokach. Ślady tych prac gruntownych odbijają się szczególnie w Thaïs i w Le puits de Ste Claire i w Balthasarze; odblask ich pada zresztą na wszystko co wychodzi z pod ręki genialnego pisarza. Kierunek tych badań był więc — socyologiczny, rezultat — porównawczy. France kładł ludzi różnych czasów i epok na siebie jak patrony, — obcinał, co było indywidualną wybujałością, doszedł do człowieka, przeciętnego, o normalnych zwyczajnych namiętnościach i średnich porywach — nie jestto człowiek idealny, lecz człowiek zwykły, *homo mediocris*.

Patronując szeregi ustrojów społecznych jeden na drugi, dostał istotę społeczeństwa — oderwanego od czasu i miejsca — otrzymał jego zwykłe funkcye, jego organy — odkrył jego cel a zatem także kryteryum wyższości lub niższości urządzeń.

Tak — metoda porównawcza w socyologii, czy na tle prac historycznych czy etnologicznych — odsłania nam nowe i nieprzewidziane widnokręgi — nowe myśli są niekiedy przykre — lecz z czasem do nich przywykniemy.

Otóż taka jest i taka w skutkach swych będzie owa ze strony Rządu dla drobnych hodowców bydła pomoc którą w okólniku prezydium Namiestnictwa z dnia 16. kwietnia 1898 L. 3830/pr. nazwano wprost »jałmużną« (!!).

Nie wiemy jeszcze, jakiej ta sól z odpadków będzie użyteczności — ale już samo to postępowanie dotychczasowe w tej sprawie charakteryzuje dosadnie stanowisko Rządu wobec potrzeb rolnictwa. Nie dać nic na jego poparcie i na zaspokojenie choćby najżywotniejszych potrzeb, — a jeśli już musi się rzucić mu jakąś »jałmużnę«, to w takiej porze, przy zastosowaniu takiego aparatu biurokratycznego, żeby z jałmużny tej żadnej nie mogło odnieść korzyści. Trudno przypuścić, aby to czyniono z rozmysłu i świadomie, a jednak przypuszczenie to narzuca siłą faktów.

Zwłaszcza sprawa soli dla bydła ma szczególne u Rządu szczęście.

Ponieważ dodawanie bydłu soli do karmy jest prawie niezbędnem, przeto od szeregu lat nasi rolnicy na wszystkie głosy i wszelkimi sposobami domagali się u Rządu, aby w naszym rolniczym i bogatym w sól kraju dawał tanią sól dla bydła dla podniesienia jego hodowli i dla podniesienia przez to rolnictwa. Rząd na wołania te pozostał głuchy mimo, iż z całą gotowością, z wszelkiemi ułatwieniami i po cenie własnych kosztów produkcyi (podobno 1 złr. za 100 klg.) wydawał sól wielkim fabrykom (np. w Szczakowy) do celów przemysłowych.

Wreszcie przeforsowano ustawę z dnia 30. czerwca 1893 Nr. 65 dz. p. p. o wyrabianiu i wydawaniu soli dla bydła po zniżonej cenie 5 złr. za 100 klg. Jednakże Rząd a w szczególności ówczesny Minister skarbu Plener wydał do tej ustawy takie rozporządzenie wykonawcze (z dnia 20. grudnia 1893 Nr. 176 dz. p. p.), że wskutek niego żaden, — nawet najwytrwalszy rolnik nie był w stanie korzystać z owej taniej soli dla bydła. Rozporządzenie to jest typowym przykładem tego, jak Rząd przez rozporządzenie wykonawcze potrafi ustawę zwichnąć i korzystanie z niej uczynić wprost niemożliwem.

Dalsze tegoż samego ministra rozporządzenie z dnia 28. grudnia 1894 Nr. 244 dz. p. p. o magazynach soli bydlęcej i o bezpośredniem w dowolnym czasie zakupywaniu soli przez rolników nie poprawiło złego.

Rolnicy, raz zrażeni, w razie potrzeby i w miarę możności kupowali dla bydła zwykłą sól kuchenną po zwykłej cenie (8 złr. za 100 klg.), — a podobno ogromne ilości przyrządzonej (denaturowanej) w salinach soli dla bydła zmarniały i poszły w błoto.

Ustawa z dnia 23. grudnia 1896 Nr. 237 dz. p. p. i rozporządzenie wykonawcze do niej Ministra skarbu Bilińskiego z dnia 23. grudnia 1896 Nr. 238 ustanowiły wprawdzie miarę i sposób denaturowania (na 99 $^1/_4$% soli kuchennej — $^1/_2$% czerwonego tlenku żelaza i $^1/_4$% proszku wermutowego), zaprowadziły możność drobiazgowej i bezpośredniej sprzedaży, — ale pozostawiły cenę 5 złr. za 100 klg. W porównaniu z rozporządzeniem Plenerowskiem z dnia 20. grudnia 1893 jestto bardzo wielkie ułatwienie, jednakże bardzo jeszcze daleko stąd do tych warunków, na jakich wydaje Rząd sól do celów przemysłowych. — Nadto odstraszające postanowienia pierwszego z dnia 20 grudnia 1893 rozporządzenia pozostały w pamięci i rolnik, który na pierwszą wiadomość o soli bydlęcej po zniżonej cenie starał się ją nabyć a z powodu napiętrzonych trudności nie nabył, — nie dowierza nowszym ulgom i nie wnet znowu odważy się pokusić o korzystanie z ułatwień Rządu ustanowionych dla rolników. *Dr. S. St.*

O ochronie mniejszości.

Pod tym tytułem wygłosił niedawno w wiedeńskiem Towarzystwie prawniczem Prof. Dr. Jerzy Jellinek z Heidelberga odczyt, w którym z zasobem wielkiej erudycyi i z godną uznania objektywnością przedstawił treściwie koleje, jakie w różnych czasach i w różnych państwach przechodził parlamentaryzm, w jaki sposób przyjmowała się zasada rządów większości i kiedy także mniejszość doznawała ochrony.

Nie mogąc dla szczupłości miejsca obszernie zdać sprawy z tego uwagi godnego odczytu, poprzestajemy bodaj na ogólnikowem naszkicowaniu toku myśli prelegenta.

Zasadę, iż większość głosów ma rozstrzygać, uznawały już starożytne republiki demokratyczne, w średnich jednak wiekach tylko z wolna i z oporem ją przyjmowano. U ludów germańskich wymagano jednomyślności lub przynajmniej aklamacyi, tj. by znaczna większość przygłuszyła nieliczną opozycyę. Myśl ta przejawia się po dziś dzień w Anglii, gdzie wyrok sądu przysięgłych musi zapaść jednogłośnie, gdzie przy wyborach do parlamentu wybór przychodzi do skutku na propozycyę jednego wyborcy, do której się drugi przyłącza a ośmiu innych udziela swej aprobaty, gdy zresztą nikt się nie sprzeciwi.

Dopiero gdyby się pojawiła inna kandydatura rozstrzyga głosowanie i wybór przychodzi do skutku nie bezwzględną, lecz względną większością głosów.

Złota bulla do wyboru monarchy wymaga zwyczajnej większości głosów elektorów, idąc za przykładem Kościoła, który przy wyborze papieża wymaga większości $^2/_3$ głosów kardynałów a przy wyborze biskupa zwykłej większości głosów członków kapituły.

W dawnem cesarstwie do powzięcia uchwały państwowej wymagano pierwotnie zgody cesarza i wszystkich trzech kollegiów Rajchstagu, a reminiscencyi tej zasady można się jeszcze dopatrzyć w dzisiejszym systemie dwóch izb. Chcąc uniknąć podówczas pewnej ociężałości ciała prawodawczego, niektórzy teoretycy wymyślili teoryę, wedle której państwo równało się dwunastu częściom, z tych miało przypadać na cesarza $^6/_{12}$ a na każde kollegium $^2/_{12}$. W ten sposób cesarz z jednem tylko kollegium jużby stanowił kwalifikowaną większość $^2/_3$ głosów. Ta teorya jednak przez sfery interesowane nigdy uznaną nie została.

Pojęcie większości parlamentarnej rozwija się i przeobraża równolegle z pojęciem konstytucyi. Chociaż już z nastaniem odrodzenia była powszechnie znaną różnica między πολιτεία a νόμοι tak jak ją Arystoteles sformułował, to jednak różnica między konstytucyą w nowożytnem znaczeniu, czyli ustawami zasadniczemi (*leges fundamentales*) a innymi ustawami, występuje wyraźnie dopiero w XVI w., kiedy wraz z walkami reformacyjnemi zawrzała walka o pierwszeństwo między władzą monarszą a władzą ludu i postawiono zasadę, że panującemu nie wolno jednostronnie zmieniać pochodzących od ludu ustaw zasadniczych. Hobbes wspominając w Lewiatanie o tej różnicy, dodaje, że u żadnego autora nie spotkał się z definicyą ustaw zasadniczych. On sam uważa je za umowę, na której oparty jest cały organizm państwa, a której zerwanie wytworzyłoby anarchię. Locke w swych Traktatach o rządzie

powiada również, że państwo powstaje w drodze umowy społecznej, która przychodzi do skutku jednomyślnie, a każdy dochodząc do pełnoletności przystępuje do niej milcząco. W umowie tej jest ważne zastrzeżenie, że mniejszość musi się poddać woli większości i tylko wówczas służy jej prawo założenia veto, jeśliby miała być na szwank narażona jedna z podstaw porządku społecznego: np. utrzymanie własności indywidualnej lub innego powszechnego dobra. Locke zapomina jednak wskazać, jakimi legalnymi środkami mniejszość oparta o masy ludowe ma się bronić przeciw niesprawiedliwym uchwałom większości. Puffendorf i nauczyciele prawa natury w XVIII w. rozbierali szczegółowo tę kwestye. Krystyan Wolf sądzi, że ustawa zasadnicza nadana przez lud wiąże panującego i że tenże może ją zmienić jedynie *consensu unanimi totius nationis*. Uczeń Wolfa de Vatel uznaje, iż lud może wprawdzie dowolnie zmieniać konstytucyę zapomocą uchwały większości, że jednak ta większość nie może swej woli narzucać mniejszości. Tej ostatniej mianowicie, jeśli nie chce się poddać woli większości, wolno bez przeszkody państwo opuścić i gdzieindziej nowe założyć. Rousseau natomiast podobnie jak Locke wolę większości uważa za jedno z wolą ogółu, mniejszości zaś odmawia wszelkiej ochrony.

Te teoretyczne maksymy znalazły wyraz w praktyce poraz pierwszy w angielskich koloniach w Ameryce. Zakładając kolonie osadnicy podpisywali zawsze dokument umowy w sposób uroczysty zawartej. Z dokumentów takich, liczne dochowały się po dziś dzień a najciekawszym z nich jest dokument zawierający Fundamental ordres of Connecticut, w którym jest szczegółowo sformułowaną cała konstytucya. Żadnych z tych umów nie śmie zmienić wola większości, gdyż powstały z woli ogółu. Nie należy tego jednak pojmować w ten sposób, iżby wymaganą była bezwarunkowo jednomyślność, coby się równało naszemu nieszczęsnemu *liberum veto*. Są jednak inne skomplikowane i silne tamy, będące w stanie zmianie konstytucyi skutecznie zapobiedz lub przynajmniej w wysokim stopniu ją utrudnić. W Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej do zmiany konstytucyi konieczną jest większość $^{2}/_{3}$ głosów w obu izbach kongresu, a nadto muszą taką zmianę ratyfikować $^{3}/_{4}$ legislatur stanów. Utrudnienia te sprawiły, że w ciągu tego stulecia przyjęto ledwie cztery poprawki do konstytucyi Stanów Zjednoczonych, a od przeszło 30 lat nie udało się żadnej zmiany przeprowadzić. Ma to jednak swą odwrotną stronę, gdyż niejednokrotnie w braku formalnej ustawy, wchodzi w życie prawo w drodze zwyczaju.

Amerykańska zasada ochrony mniejszości z czasem i w Europie zdobyła prawo obywatelstwa a wiele ustawodawstw przeprowadziło tę zasadę dając mniejszości prawo do założenia veto przeciw zmianie konstytucyi. Najdawniejsze konstytucye, tj. angielska i węgierska nie znają tego rodzaju postanowień. Charakterystycznem jest także, że szczególnie państwa romańskie albo nie znają wcale ochrony mniejszości np. Włochy, Hiszpania, albo tylko w najciaśniejszych granicach, jak Francya. Germańskie narody na kontynencie a także i Austrya użycza mniejszości ochrony, jeśli idzie o zmianę konstytucyi. Tu się nasuwa przedewszystkiem pytanie: co właściwie jest istotną treścią konstytucyi. Hobbes jeszczeby i dziś na to nie znalazł odpowiedzi w literaturze. W różnych państwach zamieszczono w konstytucyach obok istotnych zasad ustroju państwowego, przepisy mające najpodrzędniejsze znaczenie. Im mniejsze państewko, tem rozwleklejszą ma konstytucyę. Artykuł 25. b. konstytucyi Związkowej Szwajcarskiej mieści w sobie zakaz rytualnego rznięcia bydła. Tak więc obok praw szwajcarskiego obywatela gwarantujących mu wolność przesiedlania się, religii, prasy, zgromadzeń, zarazem także wołom i cielętom zagwarantowano niepozbywalne prawo, by ich nie bito w sposób rytualny.

Ta hypertrofia ustawodawstw konstytucyjnych tłómaczy się zarówno dążeniem do jak najdalej idącego zabezpieczenia ustaw przed uznawaniem ich przez sędziego za nieważne, jak niemniej coraz bardziej szerzącym się brakiem zaufania do parlamentów. Ważnym także bodźcem jest tu chęć zapewnienia ochrony mniejszości. Jak zaznaczono wyżej pojęcie konstytucyi, nader trudno jest sformułować. Brak też zupełny jakiejś zasadniczej konsekwencyi. Jaskrawym tego przykładem jest Austrya. I tak np. ordynacya wyborcza do Rady państwa jest ustawą zwyczajną, tymczasem do Sejmów jest ustawą konstytucyjną. Taksamo jak trudno określić istotę konstytucyi, trudno również znaleść sposób skutecznej i sprawiedliwej ochrony mniejszości.

Jak wszystko w dziedzinie parlamentarnych urządzeń, tak i podjęte próby zabezpieczenia praw mniejszości noszą piętno czegoś niekompletnego, niedostatecznego. Teoretycy za czasów panowania szkoły prawa natury i później rozbierali tę kwestye i mieli zawsze gotowe jej rozwiązanie, zwłaszcza we Francyi, jak np. Constant-Labouaye i Du Pont-White. Odpowiedź ta brzmiała zawsze: prawo mniejszości sięga tak daleko jak prawo jednostki, czyli większość nie śmie przekraczać granic zakreślających jednostce jej przyrodzone prawa. Jak w praktyce tę formułkę wykonać, tego nam już ci uczeni nie mówią. Przeciw nadużyciom administracyi łatwo się obronić, ale nie łatwo znaleść skuteczny środek obrony przeciw wybrykom ustawodawstwa. W Ameryce jest już dziś bardzo skuteczny sposób przeciwdziałania samowoli większości. Sędzia ma prawo uznać ustawę za niewykonalną, jeśli ona narusza ustawy zasadnicze. Z prawa tego robią sądy bardzo często użytek. Amerykańska polityka socyalna musi wskutek tego często toczyć walkę z sądami, które nieraz okazały opór przeciw próbom wprowadzenia normalnego dnia pracy, spoczynku niedzielnego itp. Tak np. w sprawie spoczynku niedzielnego golarzy motywował sąd niewykonalność jego w ten sposób: każdy ma konstytucyą zagwarantowane prawo do ekonomicznej egzystencyi, nie pozwala też konstytucya, by kogoś zmuszano do jakichkolwiek religijnych praktyk, a więc i do święcenia niedzieli, jest zatem niepozbywalnem prawem człowieka także prawo do golenia w niedzielę. Taka jednak ochrona, jakiej sądy użyczają jednostkom a temsamem także przegłosowanym mniejszościom parlamentarnym, ma i swe ujemne strony, bo orzeczenia sądów nie są wolne od pewnej arbitralności a nieodpowiedzialny sędzia, który przecie jak zresztą każdy człowiek działa też pod wpływem politycznych przekonań, stawiając swe arbitrium ponad arbitrium ustawodawcy, może w ten sposób niekiedy paraliżować i utrudniać rozwój choćby najpożyteczniejszych instytucyj.

Zasada rządów większości opiera się na tej demokratycznej tezie prawa natury, że wszystkie jednostki są sobie równe pod względem swej wartości, a zatem oczywiście tylko liczebna przewaga może decydować. W takich warunkach mniejszość posiada tylko jedno prawo, tj., że może stać się większością. Każda prawie partya zanim się stała większością, z natury rzeczy musiała być poprzednio mniejszością. Takie pojmowanie rzeczy może mieć jednak pewną racyę tylko tam, gdzie

istnieją jedynie społeczne lub czysto polityczne partye. Nie ostała się natomiast ta zasada gdzie istniały różnice religijne, jak np. w Niemczech po wojnie trzydziestoletniej w Rajchstagu, który dla zapobieżenia brutalnemu majoryzowaniu w kwestyach religijnych dzielił sie na *corpus Catholicorum* i *corpus Evangelicorum*, jako równe prawo głosu posiadające kurye wyznaniowe.

Takimi są też dziś różnice narodowościowe, w kwestyach zaś narodowych majoryzowanie wydaje się zawsze brutalnem. O ile sądownictwo i administracya nie potrafi użyczyć ochrony mniejszości, może potrafiłby to zdziałać podział na narodowe kurye w ciałach ustawodawczych. Jaka miałaby być jednak granica tej ochrony mniejszości? Niewątpliwie pozytywnie działać mniejszość by nie mogła, cała więc ochrona jej polegałaby jedynie na tamowaniu, byłaby niejako zaporą przeciw pozytywnemu działaniu większości, ile razy ta ostatnia chciałaby mniejszości gwałt zadać. Veto jest zatem jedyną bronią jaką można dać mniejszości do ręki. Mniejszość nie może niczego reformować, nie może działać, może tylko przeszkadzać, nie pozwalać. Przytem ta mniejszość musi być na tyle znaczną, by ją można uważać za wyraz opinii ogółu, nie śmie więc mniejszość swego prawa veto nadużywać.

W przyszłości będzie miała kwestya praw mniejszości jeszcze większą doniosłość niż obecnie.

W dzisiejszem społeczeństwie odbywa się proces coraz większego demokratyzowania się, który idąc dalej w obranym kierunku musiałaby z czasem doprowadzić do zupełnego zniwelowania społeczeństwa. Ze społeczeństwem będzie tak jak geologowie przepowiadają, że się stanie z górami, że się ich wierchy stoczą do nizin. W miarę zaś demokratyzowania się społeczeństwa, w równem tempie zdąża rozwój zasady rządów większości. To zaś grozi zagładą ogólnej cywilizacyi, bo nic nie jest bardziej bezwzględnem, okrutnem, bardziej wrogiem prawom jednostki, nic tak nie gardzi wszystkiem co wielkie i prawdziwe, jak demokratyczna większość. Mrzonką jest dobroć i miłość prawdy u mas. Jeśli u jednostki tak rzadko zdarzają się dobre i szlachetne przymioty, to skądżeby się na wielką skalę wzięły u mas?

Po wszystkie czasy każda nowa wielka myśl, każda idea, która później miała świat pchnąć na nowe tory, musiała wprzód torować sobie drogę wśród przeciwności i niebezpieczeństw, musiała łamać opór potęg rządzących. Ten opór jest w demokratycznem społeczeństwie stokroć większy niż gdzieindziej, jak słusznie powiedział Tocqueville, więcej potrzeba odwagi, by nie usłuchać vox populi aniżeli by się sprzeciwić rozkazowi władcy. Tosamo niebezpieczeństwo które zagraża jednostce, grozi także mniejszościom parlamentarnym, a nie należy zapominać, że wszelki postęp w zarodku swym był zawsze dziełem mniejszości. *(S—s).*

Ankieta p. Dra Damiana Sawczaka.

Zeszłoroczna konferencya agrarna oświadczyła się jednomyślnie za potrzebą energicznej akcyi, zmierzającej do zakładania kas systemu Raifeisena w kraju. Sejm uchwalił na posiedzeniu z dnia 18 lutego szereg rezolucyj w tym kierunku, a między innymi otworzył kredyt 2000 zlr. na prace przygotowawcze. Obecnie Wydział krajowy wydelegował swego członka p. Dra Sawczaka do Austryi niższej i Czech celem zbadania tamtejszej organizacyi kredytowej.

Cel podróży Dr. Sawczaka nie jest mi zupełnie jasnym, Wydział krajowy raz już przecie wysłał prof. Dr. Stefczyka za granicę w tej samej sprawie. Kasy Raifeisena łączą się w związki, które wydają obszerne, niesłychanie szczegółowe podręczniki z wzorami wszelkich potrzebnych druków, pism i t. d. (wystarczy przypomnieć dzieło Dr. Lichta dla Związku morawskiego, dzieło posła Stefana Richtera dla związku niemieckich kas w Czechach); »Verein für Socialpolitik« wydał niedawno trzy grube tomy, z których jeden poświęcony jest także organizacyi kredytu włościańskiego w Austryi i przeprowadził nad nimi ciekawą dyskusyę na zjeździe w r. 1897. Towarzystwo Kółek rolniczych zgromadziło nawet potrzebny materyał. Wobec tego uważałbym za daleko odpowiedniejsze, gdyby Wydział krajowy przychylnie załatwił petycyę Krak. Tow. Rolniczego i wysłał za granicę ludzi, którzyby później w kraju mogli być nauczycielami wędrownymi tej organizacyi kredytowej; towarzystwo rolnicze hanowerskie osiągnęło, jak wiadomo, na tej drodze znakomite rezultaty.

Kwestyonaryusz, ogłoszony w dziennikach przez p. Dr. Sawczaka (»Słowo Polskie« Nr. 98 z d. 26 kwietnia 1898 str. 5) nie wróży również dodatnich wyników i powodzenia podróży szan. członka Wydziału krajowego. Przeglądałem już niejeden kwestyonaryusz, ale czegoś podobnego nie zdarzyło mi się jeszcze czytać. P. Dr. Sawczak zwraca się do »szanownych patryotów, którym los naszego włościanina leży na sercu« z prośbą o odpowiedź na szereg pytań, których jasność i ścisłość stoi na tej samej wyżynie, co ich adres, np. zakres terytoryalny badań »szanownych patryotów« określają słowa: »w ich stronach«, przez co można zarówno dobrze rozumieć gminę, jak powiat. Kwestyonaryusz, krótki ale ogólnikowy, nie ogranicza się do zbadania faktycznego stanu rzeczy, ale sięga nawet w zakres środków zaradczych, kończy się bowiem pytaniem o sposoby zreformowania kas pożyczkowych gminnych. O wielkiej nieznajomości przedmiotu świadczy również termin zakreślony »szanownym patryotom«; odpowiedź należy nadesłać do końca maja b. r. Zbadanie organizacyi kredytowej, choćby tylko w jednej gminie, choćby dla człowieka prawniczo i ekonomicznie wykształconego, a nawet znającego dokładnie stosunki miejscowe, w ciągu jednego miesiąca, jest zadaniem nadzwyczaj trudnem. Podróż p. Dr. Sawczaka i jego ankieta przysparza może kilka kawałków w liczbie exhibitów, poświęconych sprawie kas Raifeisena, ale rzeczy samej chyba nie posunie naprzód.

Należy się wdzięczność p. Dr. Sawczakowi, że kosztem swej osoby przypomniał światu brak fachowego organu i referenta dla spraw rolniczych w Wydziale krajowym, bez czego sprawy rolnicze będą równie nieudolnie załatwiane, jak obecnie, ale ubolewać trzeba nad ośmieszeniem przy tej sposobności Wydziału krajowego.

Adam Krzyżanowski.

Polemika o szkołę handlową w Krakowie.

I.

W Nrze 8 »Ruchu« z dnia 15 kwietnia b. r. umieściła Szanowna Redakcya artykuł p. t. Szkoła handlowa w Krakowie« pióra Dra Artura Benisa. Ze względu na to, że jest to jedyna szkoła w kraju, a kurs jej wyższy dopiero się rozwija, że dla jej rozwoju potrzebna jest należyta frekwencya, do której zachęcać a nie zniechęcać należy, jeżeli się szkole tej pomódz a nie szkodzić pragnie — proszę Szanownej Redakcyi o parę wierszy miejsca dla sprostowania mylnych twierdzeń i przedstawienia stanu rzeczy w należytem świetle. A że nie umiem pisać o rzeczy, której nie znam, i występować coram publico z twierdzeniami, na które nie mam dowodów, przeprosić muszę z góry, że jako nauczyciel drugi rok na kursie wyższym uczący, to tylko sprostuję, o czem sam jestem dokładnie poinformowany.

1) Dr. Artur Benis myli się twierdząc, że szkoła handlowa w Krakowie »nie ma ani organizacyi, ani jasno wytkniętego celu naukowego, ani planu nauk«. Przekonać się o tem łatwo wziąwszy do ręki pierwsze lepsze sprawozdanie dyrekcyi tejże szkoły, lub statut, który Dr. Artur Benis zna zapewne, jako członek zarządu tej szkoły, z łona izby handlowo-przemysłowej wybrany. W tym to statucie § 5 mówi o »organizacyi szkoły«, na końcu zaś podany jest »Plan nauk«, a więc jest to prawdopodobnie to, czego się domaga Dr. A. Benis. Sam zresztą parę wierszy poniżej powyższego twierdzenia mówi, że »Wydział szkoły zmienił statuta«, a »z tem ma się połączyć kompletna reorganizacya ustroju (sic! reorganizacya organizacyi) szkoły«, a więc były statuta, była organizacya, bo inaczej nie mogłaby istnieć jakakolwiekbądź szkoła.

2) Dr. Artur Benis myli się twierdząc, że szkoła handlowa w Krakowie »nie ma ani kierownictwa..., ani zawodowo wykształconych nauczycieli«. Dyrektorem szkoły jest szef biura i prokurent Towarzystwa wzaj. kredytu, a więc instytucyi finansowej. Może i lepiejby było, gdyby szkoła mogła mieć jakiego »k. k. Inspector für commerciellen Unterricht«, ale skoro jak wiadomo, takich u nas niema, a przedewszystkiem, skoro szkołę na takiego nie stać, należy uznać pracę człowieka, który poza zajęciem biurowem prawie bezinteresownie (bo jak sam Dr. A. Benis mówi »licho płatny«) poświęca się szkole i przynajmniej nie nazywać go »dyletantem«. Wyraz to obosieczny, i mógłby zranić nawet i tego, który nim szermuje...

Kwestyę »zawodowo wykształconych nauczycieli« pozwolę sobie znowu poddać pod sąd łaskawego Czytelnika na podstawie sprawozdania dyrekcyi szkoły handlowej, które najwyraźniej podaje, że np. ćwiczeń kontowych, buchalteryi i korespondencyi uczy naczelnik rachunkowości i prokurent Banku galic. dla handlu i przemysłu; nauki o handlu — dyrektor Banku krajowego; rachunków kupieckich — prokurent filii Banku hipotecznego; języków zaś, historyi powszechnej, geografii, matematyki — profesorowie tych przedmiotów w szkołach średnich krakowskich, którzy na podstawie dyplomu na nauczycieli więcej posiadają zawodowego wykształcenia w swym przedmiocie, niż go szkoła handlowa może wymagać. Komuż Dr. Artur Benis więc chciał odmówić kwalifikacyi?

3) Dr. Artur Benis myli się twierdząc, że szkoła nie ma środków naukowych. Przekona się o tem łatwo każdy, kto będzie miał ochotę wstąpić do szkoły, i do kancelaryi dyrekcyi. Są środki naukowe do nauki fizyki, są do nauki geografii i historyi, są do nauki poglądowej, są tablice monet. Nikt nie może twierdzić, że to, co jest, już wystarcza do nauki, ale niewątpliwie wystarcza, aby skutecznie odeprzeć twierdzenie Dra Artura Benisa, że »szkole niedostaje najprymitywniejszych środków naukowych«. Jeżeli zaś było mało i jest dotąd mało, to najprostsza przyczyna leży w tem, że w oddziale niższym środków tych wogóle potrzebowano nie wiele, a oddział wyższy istnieje dopiero rok drugi, więc w miarę rozwoju rosną powoli i środki naukowe. Sam Dr. A. Benis przyznaje, że szkoła wydaje więcej niż ma dochodu, cóż się więc dziwić, że zbiory jej rosną powoli. Gdyby się Dr. A. Benis przypatrzył tej sprawie w szkołach średnich rządowych, na które są fundusze, nie byłby tak przesadnie wymagający.

4) Dr. Artur Benis myli się twierząc, że »plan nauk tej szkoły (a więc i kursu wyższego) nie odpowiada typowi przyjętemu obecnie przez praktykę krajów...«, że »szkoła krakowska uczy potrosze wszystkiego, niczego zaś dokładnie«, nareszcie, że »racyonalnie urządzone szkoły handlowe wyższe liczą klas cztery«, wskutek czego »na cały czas wykształcenia jednego ucznia w Krakowie przypada godzin nauki 3.500, a wedle typu normalnego 5.600«.

Porównałem plany 9 szkół i akademij handlowych w Cislitawii [1]), odpowiadających typowi szkoły krakowskiej i przekonałem się niezbicie, że żadna nie ma klas 4, ale mają równie jak krakowska po 3, a niektóre nawet (Communal-Handelsschule w Brüx i Handelsschule Allina w Wiedniu) po dwie; lecz większość z nich ma klasę przygotowawczą, którą widocznie Dr. Benis do klas szkolnych wliczył. (Taką klasę przygotowawczą ma np. gimnazyum niemieckie we Lwowie i w Brodach, a nikomu na myśl nie przyszło twierdzić, że to są gimnazya 9 klasowe). Ponieważ niektóre uczą obowiązkowo stenografii, inne zaś dają uczniom do wyboru naukę języków poza ojczystym, wyższa liczba godzin tygodniowych jest zupełnie naturalna, ale w gruncie rzeczy, jeżeli krakowskiej szkole nierówna, to przynajmniej bardzo zbliżona. Liczba przedmiotów szkolnych jest albo zupełnie ta sama, albo pozornie wyższa, ponieważ są to szkoły zorganizowane zupełnie, a nam brak jeszcze kursu 3, na którym dopiero uczyć się ma ekonomii politycznej i towaroznawstwa i prowadzić kantor wzorowy. Słowem plan krakowski odpowiada typowi, przyjętemu przez praktykę krajów, uczy tego samego i taksamo dokładnie jak inne szkoły tego rodzaju, a śmieszną jest rzeczą wojować statystyką godzin szkolnych przez 3 lata dla ucznia przepisanych, jeżeli się wliczyło w to klasy przygotowawcze i przedmioty warunkowo obowiązkowe (czyli jak chce Dr. A. Benis »obligatoryjne«).

Coby to zaś miało znaczyć, co Dr. Artur Benis

[1]) Stadt Höhere-Handelsschule in Aussig a/E; Höhere Handelsschule in Brünn; Communal-Handelsschule in Brüx; Grazer Handels-Akademie; Vyšša obchodní škola v Hradci králové; Handels-Akademie in Linz; Prager Handels-Akademie; Handelsschule Allina Wien; Wiener Handels-Akademie.

pisze, że »kardynalną wadą planu (krak. szkoły) jest brak zawartości wewnętrznej w programie naukowym« i jak to można »skoncentrować plan nauk tak, aby uczniowie nabyli wprawy i biegłej pewności w praktycznem władaniu tą sumą wiadomości, jaką im szkoła daje« — trudno dociec, bo niepodobna zrozumieć zwrotów »zawartość wewnętrzna« (a jest »zewnętrzna«?) i »skoncentrowanie planu dla wprawy i praktycznego władania..« Są to *verba et voces*.

5) Myli się Dr. Artur Benis i sprzeciwia sam sobie twierdząc, że »racyonalnie urządzone szkoły handlowe... mając szczuplejszy program przedmiotów, żądają od uczniów intensywniejszej pilności«. Widzieliśmy bowiem pod 4), że szkoły tego typu co szkoła krakowska, mają taki sam »program przedmiotów«, ani szczuplejszy, ani obszerniejszy, intensywność zaś pilności uczniów nie stoi w żadnym stosunku z »programem przedmiotów«, chyba, że Dr. A. Benis rozumiał przez »program« jakość — wtedy stylistyczna niepoprawność winna nieuchronnemu nieporozumieniu. Wprawdzie Dr. A. Benis pragnie »uniknąć nieporozumień«, ale nie jest to możliwe tak w powyższym wypadku jak i w innych, gdzie np. Dr. Benis mówi o »udyscyplinowaniu (*sit venia verbo!*) intelligencyi« (!), o »przymusie obligatoryjnym« (!), o »ciężkim wyrzucie (!) dla czynników powołanych« przez »zaniedbanie handlowego wykształcenia«, — bo operuje wyrazami, które w pewien zwrot połączone nie dają jasnego pojęcia lub co gorsza nic nie mówią.

Chcąc być sprawiedliwszym od Dra A. Benisa muszę wyznać, że są w jego artykule rzeczy słuszne i ważne, nad któremi zarówno Dyrekcya jak i Zarząd szkoły zastanowić się powinien. Dotyczy to w pierwszym rzędzie ustępu, wykazującego minimalną subwencyę rządową, dawaną tej szkole, jedynej w Galicyi, dotyczy planu kursu niższego, dotyczy całej organizacyi szkoły. Pewna oględność a może i cierpliwość, aż się szkoła rozwinie i w całości zorganizuje i dopiero uzyska prawo publiczności i może się starać o prawo jednorocznej służby dla swych hospitantów — byłyby uchroniły Dra Benisa od przedwczesnego zarzutu, że szkoła tych przywilejów dotąd nie posiada; tymczasem te wszystkie i inne kwestye mógł Dr A. Benis uczynić przedmiotem rozpraw na posiedzeniach Zarządu szkoły, do którego należy, mógł je tam łatwo doprowadzić do skutecznych petycyj i wniosków, a nie wylewać dziecka z kąpielą — jak mówi niemieckie przysłowie, bo przez to nie zyskał ani dla siebie chwały, ani pożytku dla szkoły, która może odtąd z żalem codziennie powtarzać: »Panie Boże chroń mię od takich przyjaciół!...«

Roman Zawiliński.

II.

Powyższe sprostowanie prof. R. Zawilińskiego udzieliliśmy Drowi Benisowi, który odpowiada na nie w następujący sposób:

Zamiast odpowiedzi

P. Roman Zawiliński, od półtora przeszło roku nauczyciel języka polskiego w krakowskiej szkole handlowej, z zawodu i zamiłowania filolog, gniewliwe swe uwagi złotą zaiste rozpoczął maksymą. Z serca przyklaśnie każdy zdaniu p. Z. (wybaczy Czcigodny Pan Profesor, że dla skrócenia nie pójdę za Jego przykładem wypisywania pełnego imienia i nazwiska), iż nikt nie powinien pisać o rzeczach, na których się nie rozumie.

Ach! jakby to dobrze było... Najtrudniej atoli do samego siebie stosować wygłaszane prawdy.

Z Seneką może sobie p. Z. powiedzieć: »Video meliora proboque, deteriora sequor.«

Z prawdziwą wdzięcznością przyjąłbym każdą uwagę p. Z. w sprawach językowych, stylistycznych lub literackich, jak również każdą, dotyczącą nauki języka polskiego w szkole handlowej. Tu uznaję w zupełności jego kompetencye. Odmówić mu jej atoli muszę, skoro chodzi o ocenę planu i organizacyi szkoły handlowej.

Jestto sprawa i zawiła i od kilku dopiero lat niesporna. Ma ona już swą obszerną literaturę, że tylko wspomnę o E. J. James'a *Education of business men in Europe* (1893) i o najświeższej pracy Dra Zehdena, inspektora szkół handlowych w Austryi, poświęconej specyalnie kwestyi planu nauk w szkołach handlowych t. zw. wyższych. Przypuszczam zresztą, że p. Z. zna literaturę przedmiotu, lub znać ją powinien, skoro o nim pisze.

Szkoła handlowa istnieje dla handlu i tylko dla handlu. Istotne wymagania handlowego życia muszą być linią wytyczną dla organizacyi szkoły i jej naukowych celów.

Szkoda, że mój szanowny krytyk, w swych, widocznie pod wpływem irytacyi pisanych uwagach, o tem zapomniał. Formalistyczną, a nie sądzę że słuszną, interpretacyą słów i zwrotów sprowadzono rozbiór ustroju szkoły do poziomu pogawędki o osobach. W ten sposób zamiast dyskusyi o szkole powstała dyskusya o ludziach, nie pozbawiona tonu inwektywy.

W te tropy za p. Z. nie pójdę.

Ciesząc się atoli szczerze, że p. Z. tak gorliwie interesuje się szkołą, w której zarządzie mam zaszczyt zasiadać, postaram się objektywnie i spokojnie wykazać, iż się *optima fide* myli i przekonać go, że ludzi, których broni nie zaczepiałem, a sprawy, o których sądziłem, że wymagają reformy, istotnie z wielką dla społeczeństwa szkodą, reform tych potrzebują.

Przypatrzmyż się kolejno »sprostowaniom« p. Z.

1) Nie ulega kwestyi, że krakowska szkoła handlowa ma statut organizacyjny i plan nauk, który dyrekcya w sprawozdaniach co roku powtarza. Plan nauk umieszczony jest nawet na ostatniej stronie statutu. Również w kancelaryi szkoły wisi kartka z planem nauki.

Ale przecież nie o to chodzi.!

Chodzi tu po prostu o to, że i statut i plan nauk nie są takie, jakimi być powinny. Organizacya jest wadliwą, bo dąży do utrzymania szkoły 3-klasowej, przeciw której podnoszą się zewsząd najcięższe zarzuty i tz. kursu niższego, który nie jest ani szkołą handlową niższą, ani szkołą handlową uzupełniającą.

Szkołą niższą nie jest, gdyż ma całkiem inny plan nauk (por. Normallehrplan einer 2-classigen Handelsschule), nie jest szkołą handlową uzupełniającą, gdyż nie odpowiada ustawie przemysłowej.

2) To samo prawie tyczy się następnej uwagi p. Z.

Na myśl mi nie przyszło nigdy twierdzić, jakoby obecni profesowie nie posiadali należytych »kwalifikacyi« wyrazu tego nawet nie użyłem i stanowczo muszę się zastrzedz przeciw tego rodzaju imputacyom, uwłaczającym tylko owym Panom, których p. Z. całkiem niepotrzebnie broni. Nauczyciele szkoły handlowej i jej dyrektor zajmują zresztą tak wybitne stanowiska w świecie handlowym, fachowa ich wiedza tak jest powszechnie uznaną, iż naprawdę obyć się mogą bez pochwał lub obron w tych łamach.

P. Z. znowu chybił celu, a chybił go dla tego, że interpretacyi 2 wyrazów poświęcił 30 wierszy druku.

Tu nie chodzi zupełnie o osoby nauczycieli, ale o system postępowania szkoły, która nie posiada ani jednej stale z sobą związanej czyli zawodowej nauczycielskiej siły.

Pokuszę się to na przykładzie wyjaśnić.

Jeżeli chemik fabryczny X, znana zresztą w swoim zawodzie powaga, obejmie na wolne chwile w jakiejś szkole lekcye chemii, przyzna mi każdy, że X jest nauczycielem-dyletantem, a nie nauczycielem zawodowym

Z posiadaniem lub brakiem kwalifikacyi nie ma to nic wspólnego.

Prawdziwe nauczycielstwo, więcej może niż inne zajęcia, wypełnia całego człowieka i absorbuje niemal całe jego siły. Nauczyciel zawodowy, to człowiek, który nauczaniu pewnego przedmiotu poświęcił swe studya, swój czas, który ku celom pedagogicznego nauczania nagiął swój kierunek myślenia, który żyje dla uczenia i z uczenia.

Każda szkoła musi posiadać taki sztab nauczycieli zawodowych, stale z nią związanych i oddanych w zupełności jej celom. Odnosi się to zwłaszcza do szkół handlowych, gdzie nawet nauka przedmiotów nie ściśle handlowych, jak języki lub geografia zastosować się musi do wymagań handlowego życia.

Takie stałe ciało nauczycielskie posiada każda porządna szkoła handlowa i do tego samego systemu, od którego zależy dalszy rozwój szkoły — zastosować się musi i Kraków.

Że u nas tego jeszcze nie ma, nie jest oczywiście, jak myśli p. Z., winą nauczycieli, którzyby się z pewnością chętnie na stabilizacyę zgodzili, ale niezawinionym, choć mimo to niemniej szkodliwym i ciężkim rzeczowym brakiem w samej instytucyi, nie posiadającej dostatecznych funduszów i zmuszonej oszczędzać na płacach kierownika i nauczycieli.

W artykule moim podniosłem też tę sprawę, omawiając skutki niedostatecznej dotacyi szkoły.

3) Co do środków naukowych, to już nie ja, ale p. Z. się myli, i to bardzo grubo.

I znowu nie chodzi tu o to, czy brak środków naukowych jest winą tego lub owego pana i czy się temu można dziwić lub też nie.

Faktem jest, że środków naukowych nie ma. Chyba że się nazwą zbiorów krakowskiej szkoły handlowej wyższej, chce oznaczyć kilka starych i kilka nowszych w kancelaryi złożonych, a zębem czasu mocno dotkniętych map, kilka również w kancelaryi wiszących tablic i »gabinet« fizykalny, umieszczony na kilku półkach maleńkiej szafki. Część »aparatów« skonstruował sobie zresztą profesor fizyki sam, nie mogąc oczywiście bez demonstracyi wogóle wykładać.

A czy p. Z. nie wpadły w oko gołe ściany klas w handl. szkole? Czy nie widział n. p. w zagranicznych szkołach tego rodzaju, iż na ścianach, w klasach, ciągle przed okiem uczniów, są stale porozwieszane mapy geograficzne, kolejowe i telegraficzne różnych okolic świata, mapy dróg handlowych, tablice technologiczne, widoki urządzeń fabryk i warsztatów, obrazy surowych artykułów handlowych, tablice monet, tablice graficzno statystyczne, odnoszące się do produkcyi, exportu i importu węgla, żelaza, zboża w różnych krajach oraz inne tym podobne środki pomocnicze, z których uczeń bez wielkiego mozołu nabywa wielu wiadomości, potrzebnych do wyrobienia sobie kupieckiego na świat poglądu. Rzeczy te, jak i wiele innych, n. p. choćby małe laboratoryum dla towaroznawstwa, są szkole do osiągnięcia celów potrzebne, i dlatego szkoła je mieć musi. Wydział szkoły też na ostatnim swem posiedzeniu na rok 1898/9 preliminował na same środki naukowe 1000 fl., czując ich brak i potrzebę i zapowiedział ministerstwu, iż się ta pozycya, przez kilka następnych lat w budżecie szkoły powtórzy.

W końcu jedna uwaga: Zdaje mi się, że środki naukowe nietylko »powinny wystarczyć na skuteczne odparcie moich twierdzeń«, — jak to pisze p. Z. — gdyż zdaje mi się, że o stanie środków naukowych nie decydują potrzeby polemiki, ale potrzeby szkoły.

4) P. Z. po porównaniu planów aż 9 szkół i akademii handlowych Cislitawi — (pomiędzy nimi jest także na zarobek obliczona szkoła Aliny, będąca prywatnem przedsiębiorstwem) doszedł do przekonania, iż trzyklasowa szkoła krakowska ma idealny ustrój, któremu przeczyć jest śmiesznością. Wobec tych »źródłowych« studyów p. Z., może nie będzie od rzeczy zacytować tu, co o szkołach tego typu pisze najkompetentniejsza w Austryi osobistość: Dr. Zehden, »Regierungsrath und Inspector für den commerziellen Unterricht« oraz przewodniczący komisyi egzam. dla nauczycieli szkół handlowych.

»Für alle tüchtigen Fachlehrer gilt es jetzt als Axiom, dass in 3 Jahren das angestrebte Lehrziel der höheren Handelsschulen nicht zu erreichen ist, dass, will man daran festhalten, die höheren Handelsschulen in solche mit 4 Jahrgängen umwandelt werden müssen. Śmiesznem więc byłoby zaprawdę, dyskutować nad jedną z pryncypalnych zasad organizacyi szkół handlowych. Co do motywów i szczegółów odsyłam p. Z. do rozprawy Zehdena.

I jeszcze jedno sprostowanie: Ilość godzin liczono w szkole krakowskiej i w szkołach obcych wedle tych samych zasad. Wobec tego raz jeszcze muszę powtórzyć, że wedle planu normalnego przypada na cały czas wykształcenia jednego ucznia godzin nauki 5.500, a w Krakowie 3.600.

Chętnie natomiast przyznaję p. Z. racyę, iż lepiej jest po polsku powiedzieć, »obowiązkowy« niż »obligatoryjny«, lepiej »ująć w karby inteligencyę« niż »udyscyplinować inteligencyę«, że przymus obligatoryjny jest pleonazmem itd.

Wszystko to jest święta prawda.

Nie robię nawet panu Zawilińskiemu zarzutu z tego, iż krytykuje poszczególne wyrażenia, wyrwane ze środka zdania, i żali się na niezrozumiałość takich ułomków, pozbawionych związku, początku i końca. Natomiast mimo najlepszej chęci i uznania krytycznej powagi p. Z. nie mogę brać na siebie błędów drukarza, który z »zarzutu« zrobił »wyrzut«, z »wewnętrznej zwartości« »wewnętrzną zawartość«.

Żyłem dotychczas w błogiej nadziei, że te błędy drukarskie nie zaciemnią rzeczowej treści moich uwag o szkole handlowej i łudziłem, że łaskawy czytelnik sam je sobie sprostować raczy...

Stało się inaczej. Cóż mogę teraz na to poradzić? Świat już jest taki, że się zdarzają omyłki druku.

Na zakończenie zaś muszę panu Zawilińskiemu podziękować za uprzejmą acz nieproszoną radę, abym moim poglądom dał wyraz na posiedzeniach Zarządu. Jak zwykle takie dobre rady, jest ona nieco spóźnioną i całkiem zbędną, gdyż wszystko to, bez rady p. Z., już się dawno stało. A Wydział szkoły nie tylko, że się do moich zapatrywań przychylił, ale polecił mi nawet wypracowanie w tych przedmiotach odpowiednich memoryałów. Memoryały te, jakoto memoryał

do Rady szkolnej krajowej, memoryał do Wydziału krajowego, memoryał do Ministerstwa skarbu, memoryał do Rady Państwa i memoryał do Koła polskiego odeszły do właściwych władz z końcem marca b. r.

Jestem wreszcie zdania, że najgorszą szkole przysługę oddaje ten, kto pragnie jej braki i wady przed ogółem zatajać i spokojnie, cierpliwie czekać, aż zwolna i pomalutku »szkoła sama się rozwinie«. Szkoła krakowska nie ma bynajmniej powodu kryć się i unikać światła publicznego.

Nie jest ona bez błędów, lecz jest bez winy. Braki jej pochodzą głównie z niedostatku środków pieniężnych. Poparcia zaś swych słusznych żądań, szukać musi i powinna, w głosie publicznym, w jawności, w prawdzie.

Trzeba mieć odwagę, aby raz zerwać z fałszywym wstydem, przyznać się do winy, odkryć wprost i bez ogródek błędy, a z planem reformy w ręku, zmienić metodę czekania na metodę czynu. Życząc szkole handlowej takiego rozwoju, jakiego świetny przykład widzimy w krakowskiej szkole przemysłowej, życzymy jej także, aby swych przyjaciół nie szukała w gronie chwalców. Nic się tak nie mści jak wzajemna adoracya.

Przykrą tę i niepotrzebną polemikę uważam niniejszem za ukończoną. *Dr. Artur Benis.*

SPRAWOZDANIA i RECENZYE.

Z dziedziny ekonomii społecznej.

»O działalności Banku ziemskiego w Poznaniu w zastosowaniu do naszych stosunków«. Napisał Dr. Mikołaj Rey.

Znany propagator sprawy kolonizacyi wewnętrznej i włości rentowych hr. Mikołaj Rey ogłosił świeżo pod powyższym tytułem zebrany w całość szereg swych artykułów drukowanych w jesieni zeszłego roku w »*Gazecie narodowej*«.

Większą część pracy hr. Reya zajmuje gruntowne i wyczerpujące przedstawienie historyi założenia i dotychczasowej działalności Banku ziemskiego w Poznaniu oraz dodatnich wyników osiągniętych w obronie ziemi polskiej.

I nie można nie uznać wielkiej zasługi autora, który stawiając nam przed oczy wierny obraz wysiłków i energji okazanej przez społeczeństwo polskie w zaborze pruskim, sumując dodatnie jednak wyniki tej tak nierównej walki z przemocą miljonów oddanych w służbę krzyżackich rządów państwa bękartów niemieckich nie bojących się nawet Boga, ale bojących się bardzo polskiej własności ziemskiej; nie można nie uznać zasługi autora, który pracą swą pokrzepił nam serca i wzmocnił nadzieję że potrafimy długo i wytrwale bronić swej ziemi na tych najbardziej dziś zagrożonych kresach zachodnich.

Lecz autor nie zadowalnia się tym sukcesem, nie ogranicza się do przedstawienia działalności Banku poznańskiego, lecz stawia ten bank i jego działalność nam w Galicyi jako wzór do naśladowania. Chciałby przeszczepić te instytucyę na grunt galicyjski bez żadnej modyfikacyi, chciałby za pomocą takiego banku rozwinąć i w naszym kraju szeroką akcyę w kierunku parcelowania obszarów dworskich, by zyskać w ten sposób teren szeroki dla rozwoju kolonizacyi wewnętrznej w czem upatruje konieczne zdaniem jego u nas »unarodowienie ziemi«.

W tem rozparcelowaniu obszarów dworskich w celu »unarodowienia ich« przez osadzenie na nich chłopów na warunkach prawa rentowego, widzi autor najskuteczniejsze lekarstwo na wszystkie choroby społeczeństwa galicyjskiego.

W najlepszej wierze a z uporem »Wunderarzta« wierzącego ślepo w skuteczność zachwalonego przez siebie specyfiku, powraca autor na każdej niemal karcie do swej ulubionej myśli, i usiłuje nas gwałtem przekonać, że:

»Jedynie kolonizacya wewnętrzna, prowadzona systematycznie, może uleczyć nasze niedomagania socyalne i poprawę agrarnych stosunków przeprowadzić«.

I w najdrobniejszych szczegółach przedstawia nam hr. Rey swój projekt dla Galicyi.

Więc na najniższych szczeblach »spółki lokalne«, nad nimi »prowincyonalne spółki ziemskie« jako organa pośredniczące między spółkami lokalnemi, a Bankiem ziemskim we Lwowie, któryby musiał załatwiać stronę sfinansowania interesu przedewszystkiem, dalej wyszukiwał osadników, a w końcu pośredniczył między akcyą społeczną a pomocą krajową i państwową administracyą.

Bank ziemski we Lwowie miałby w myśl życzenia autora rozpocząć swą działalność z kapitałem 300.000 złr. licząc na to, że Bank krajowy udzielił by mu kredytu do kwoty 500.000 złr. Te 300.000 złr. pragnie autor zebrać w drodze subskrypcyi prywatnej, zastrzegając prawo robienia troskliwego wyboru między zgłaszającymi się do tej subskrypcyi. Z 800 więc tysiącami chce autor rozpoczynać tę akcyę. Kapitał to większy niż ten, którym rozpoczynał swą działalność bank ziemski w Poznaniu, ale też jak twierdzi autor jest w Galicyi daleko więcej nieekonomicznie sytuowanych majątków, które na parcelacyę czekają jak na zbawienie. Hr. Rey żąda dalej krajowej Komisyi generalnej, emisyi krajowych listów rentowych, przewidując zaś, że nowi osadnicy będą może czasem woleli zalegać z ratami niż płacić regularnie, żąda gwarancyi państwa dla tych listów rentowych, tak, aby w razie nadzwyczajnej klęski rolniczej, gdzie nowonabywcy zalegną z procentami, państwo dodatkami do podatków ściągnęło z kraju ten deficyt.

Taką ustawę gwarancyjną uznaje autor całkiem słusznie jako konieczną dla dobrego kursu krajowych listów rentowych.

Lecz w zapale dla sprawy którą poruszył nie myśli autor czekać z założeniem banku ani na ustawę krajową ani nawet na państwową gwarancyę gdyż:

»Życie toczy się mimo nas, a ponad naszymi głowami idzie niepowstrzymane jutro....

»Dlatego odkładać rzecz taką jest niebezpiecznem potrzeba jąć się pracy, gdy ona jeszcze w naszych pozostaje rękach i ratować ziemię polską, póki się ona nasza nazywa«.

I tę proponowaną przez siebie akcyę, zmierzającą do rozbijania istniejących obszarów dworskich na strzępy w celu uzyskania szerokich terenów dla osadnictwa chłopskiego, nazywa autor unarodowieniem ziemi! Więc lud tylko ma według niego prawo do nazywania się narodem i przywilej do unarodowienia wszystkiego, czego tylko się dotknie! Więc unarodowieniem ziemi ma być przeniesienie jej z rąk szlachty, z rąk przez tradycye przeszłości i głęboko zakorzenione poczucie narodowe do spełnienia obywatelskich obowiązków kwalifikujących się jednostek, w ręce chłopów, którzy jeszcze niestety do objęcia tej z posiadaniem ziemi złączonej spuścizny obowiązków obywatelskich nie dorośli, bo jeszcze, jak twierdzi sam autor, szerszego uczucia miłości ojczyzny nie znają i tylko żądza ziemi ma w nich to uczucie zastąpić.

Lecz autor zapatrzony jak w tęczę w D-ra Kalksteina i w stosunki narodowe w zaborze pruskim nie widzi chyba tej ogromnej różnicy jaka między poziomem poczucia narodowego u chłopa poznańskiego, a u naszego istnieje, nie widzi powodów które w poznańskiem akcyę taką czynią pożądaną i konieczną, a która u nas rozpoczęta, co najmniej przedwczesną by była.

Że tam mamy do czynienia z setkami miljonów marek w służbie niskich instynktów rządów najbardziej rozbójniczego państwa co i ziemię i nazwę nawet słowiańską ukradło, a teraz i po naszą ziemię nienasycone wyciąga ramiona, że siły nasze słabe i jedyna nadzieją to zastępy unarodowionego już i dojrzałego w twardym ucisku ludu polskiego.

U nas tego wszystkiego nie ma. Lud nasz jeszcze nie dojrzał a w ostatnich nawet czasach stał się popychadłem w rękach nienasyconych wichrzycieli. Że zaś tu nie mamy wrogiej komisyi kolonizacyjnej, nie ma więc teraz powodu do takiej akcyi, jaka pod zaborem pruskim stała się konieczną.

Prawda, że podział własności ziemskiej u nas jest wadliwym w wysokim stopniu. Lecz czyż to ma być najlepsza i najmniej pod względem społecznym i politycznym niebezpieczna droga do poprawy stosunków agrarnych w Galicyi?

Czy za pomocą Banku ziemskiego ma autor nadzieję trwale poprawić wadliwy podział i wzmocnić własność średnią? Lecz musiałoby się w takim razie zacząć od parcelacyi największych majątków ziemskich i latifundyów, a te jako ekonomicznie najsilniejsze nie poddadzą się z pewnością tej operacyi. Ofiarą parcelacyi musiałyby paść najpierw obszary średniej wielkości, majątki od 200 do 1000 morgów. Mniejsi właściciele tabularni jako ekonomicznie słabsi i najwięcej obdłużeni pierwsi ofiarowaliby swe posiadłości na parcelacyę i w ten sposób w przeciągu lat niewielu zniknęłyby te ogniska postępu rolniczego i pracy obywatelskiej tak już u nas nieliczne.

Wszak według obliczeń prof. T. Pilata posiadłości od 200 do 1000 morgów zajmują u nas i tak za małą przestrzeń, bo tylko 6·10% całej powierzchni kraju. I ten jedyny dziś łącznik między własnością wielką tabularną a drobną chłopską zniknąłby w przeciągu lat paru, a różnice społeczne i tarcia zaostrzyć by się jeszcze musiały!

Po ułatwieniu się z mniejszą własnością tabularną, musiałby się bank ziemski zabrać do parcelowania posiadłości i powyżej 1000 morgów obszaru. Instytucya bowiem stworzona wyłącznie dla parcelacyi i osadnictwa wewnętrznego, nie mogłaby regulować swej działalności istotną potrzebą, nie mogłaby rozporządzalnych kapitałów pozostawiać bez zatrudnienia, lecz przeciwnie musiałaby wyszukiwać coraz to nowe terena dla swej działalności, coraz to szerszą musiałaby rozwijać akcyę, i w ten sposób w przeciągu lat kilkudziesięciu może przestrzeń większej własności zmniejszyłaby się do połowy i podział własności ziemskiej w kraju jeszcze by się pogorszył.

Z jednej strony miljony proletaryuszów rolnych i kilkadziesiąt tysięcy świeżych osadników, którzy w razie braku zakazu dalszego dzielenia gruntów zproletaryzowali by się szybko, z drugiej zaś strony pozostałyby same tylko latifundya, jak wielkie wyspy wśród drobnej szachownicy posiadłości chłopskich w kraju całym.

Czy taki podział nie byłby jeszcze stokroć groźniejszym? Czy wtedy kraj nasz nie stałby się dopiero naprawdę ziemią obiecaną dla agitatorów socyalistycznych i nieustającą widownią groźnych zaburzeń i rozruchów?

Parcelacya umniejszająca obszar mniejszej własności tabularnej i tak się odbywa i kosztem tej własności powstają co roku nowe drobne gospodarstwa chłopskie.

Kierunek tego prądu parcelacyjnego ująć w ręce, popierać w niektórych okolicach kraju, wstrzymywać i utrudniać w innych, obwarować parcelacyę w drodze ustawodawczej całym szeregiem warunków i wymogów podyktowanych względami natury ekonomicznej i społecznej, a na wschodzie i narodowej, zabronić wydzielania mniejszych od pewnego oznaczonego minimum kawałków, zabronić stanowczo parcelacyi zupełnej, rozbijającej całkiem obszar dworski, niszczącej część kapitału włożonego w budynki, niszczącej dotychczasowy warsztat produkcyi rolniczej i ognisko obywatelskiej działalności, popierać natomiast i ułatwiać odprzedaż źle skomasowanych zdala od głównych kompleksów gruntów położonych parcel, w celu zmniejszenia długów ciążących na całości kosztem i tak mało wygodnych, bo daleko położonych części, szukać wreszcie terenów dla osadnictwa chłopskiego po za własnością tabularną, zwrócić w tym celu oczy na straszliwie jak dotąd zaniedbane t. zw. pastwiska gminne; oto stosunkami naszymi wskazany program przyszłej działalności, który potrzebom kraju więcej odpowiada, a zaostrzenia przeciwieństw i tarć społecznych nie posunie dalej. Na taką zaś działalność nie potrzeba nam banku ziemskiego. Dla spełnienia tych zadań zupełnie wystarczy świeżo utworzony »Organ parcelacyjny« przy Banku krajowym.

I dziwna rzecz, bo hr. Mikołaj Rey nie zapoznaje bynajmniej wielkiego znaczenia własności większej i średniej w kraju naszym. Na str. 10 swej rozprawy pisze wyraźnie, że:

»Własność większa ma jeszcze u nas prawo do egzystencyi a naród obowiązek jej zachowania«.

Tak jest niewątpliwie, ale jakąż to drogę obiera autor dla zachowania większej własności?

»Niekorzystnie sytuowane majątki ziemskie, czekają na parcelacyę jak na zbawienie« pisze w innem miejscu autor, niepomny, że taka »*capitis diminutio*« w znaczeniu czysto fizycznem, zbawieniem nazwaną być nie może.

Autor nie zastanowił się i nad tem również, że na wielką skalę przeprowadzona parcelacya większych obszarów, musiałaby z m n i e j s z y ć z n a c z n i e p r o d u k c y ę r o l n i c z ą kraju, a przez to osłabić jego siłę finansową i zły i tak bilans handlowy pogorszyć jeszcze bardziej.

Statystyka poucza nas, że w kraju naszym, jak również w całej środkowej Europie mniejsza własność daleko gorzej gospodaruje i daleko mniejszą wykazuje produkcyę z hektara niż większa własność. Według obliczeń D-ra Rutowskiego uwzględniających tylko wschodnią Galicyę, widzimy, że gdyby na wielkiej własności Galicyi wschodniej spadło gospodarstwo do poziomu gospodarstwa włościańskiego, to wartość zbiorów rolniczych wielkiej własności spadłaby z 62 na 52 miljony złr.

W całej zatem Galicyi wartość rocznej produkcyi rolniczej zmniejszyłaby się o 15 miljonów blisko.

Obniżenie więc produkcyi rolniczej kraju byłoby pierwszem i całkiem pewnem następstwem masowej parcelacyi obszarów dworskich.

Lecz autorowi zdaje się, że chce ratować większą własność w ten sposób, tymczasem on chce ratować jednostki zagrożone bankructwem, chce ratować większych właścicieli kosztem większej własności jako takiej.

My zaś na innem stoimy stanowisku. I dla nas nie są obojętne osoby, nie jest obojętnem kto siedzi na tej ziemi czy swój, czy obcy, ale przedewszystkiem chodzi nam o większą własność jako taką, o utrzymanie i zachowanie od rozbicia dotychczasowych warsztatów pracy i ognisk postępu rolniczego, o podwyższenie, a nie o lekkomyślne obniżanie produkcyi rolniczej kraju i niszczenie części majątku zawartego w budynkach gospodarczych, o zachowanie wreszcie tych tak ważnych posterunków obywatelskich, które u nas są nieodzowne i potrzebne tak długo, dopóki lud nasz nie dojdzie do tego przynajmniej stopnia oświaty, do tego poziomu poczucia narodowego i obywatelskiego jak lud polski w poznańskiem i Prusach zachodnich.

A to czego tak bardzo hr. Rey się obawia, że majątki ziemskie w Galicyi przechodzą w ręce żydów lub niemców, uważamy tylko za złe przemijające, bo albo taki majątek po czasie niedługim wróci znowu w ręce polskie, albo też właściciele jego w drugiem lub trzeciem pokoleniu zassymilują się z otoczeniem i jak to już obecnie mamy przykłady, staną się nie żadko lepszymi obywatelami kraju niż niejeden z tych w którym ani kropli krwi obcej nie ma. Czyż hr. Rey takich wypadków nie zna? Moglibyśmy mu przypomnieć nie mało nazwisk ludzi dobrze mu znanych, których dziadowie jeszcze nosili pejsy a którym obecnie jako obywatelom kraju nic zarzucić nie można. Moglibyśmy mu przypomnieć i takich, których dziadkowie lub ojcowie jeszcze byli niemcami i przed laty pięćdziesięciu nie mało się dali we znaki naszemu społeczeństwu jako urzędnicy austryjaccy, a którzy obecnie są wzorami poświęcenia na polu obywatelskiej pracy.

Z rąk żydowskich majątek ziemski może wrócić, i najczęściej wraca z powrotem w polskie ręce, z rozbicia na strzępy, całości zlepić już trudno. Zresztą żydzi coraz mniej już występują jako nabywcy majątków tabularnych. W zachodniej Galicyi nawet własność żydowska zmniejszyła się w ostatnich latach znacznie. W dwóch najlepiej mi znanych powiatach zachodniej Galicyi tj. Mieleckim i Kolbuszowskim przeszło w ostatnich latach 10-ciu okrągło 16,000 morgów z rąk żydowskich w ręce polskie. Wogóle w zachodniej Galicyi panuje między żydowskimi właścicielami dóbr coraz silniejsza tendencya do wyzbywania się ziemi która zbyt małe teraz przynosi dochody i zbyt niewiele przedstawia pola do rozwinięcia tego zmysłu do nieczystych spekulacyi, który stanowi powszechnie znaną ujemną stronę charakteru żydowskiego.

Że zaś między nami nie zabraknie nabywców na majątki żydowskie, to rzecz pewna.

Wszak każdy prawie polski adwokat, każdy lekarz, inżynier lub artysta, gdy tylko dojdzie do posiadania odpowiedniego kapitału, kupuje sobie mniejszy lub większy kawał ziemi i nie rzadko nawet w sile wieku, porzuca swój zawód, by osiąść na ziemi, zagospodarować majątek i przekazać go swym dzieciom.

I ten zastęp ludzi przyzwyczajonych do systematycznej w swym zawodzie pracy i pełnych poczucia ważności czekającej ich obywatelskiej służby, jest i będzie na przyszłość znacznem wzmocnieniem przerzedzonych już szeregów szlachty naszej.

Kończąc ten szereg uwag o rozprawie hr. Mikołaja Reya łączymy życzenie, aby autor, w którym cenimy wysoko jego zdolności, temperament polityczn i pracowitość, oraz tak rzadką u nas energję i upór w wytrwałem dążeniu do spopularyzowania przyjętej raz myśli, zechciał zwrócić się także na pole innych, o wiele więcej pożądanych i do naszych stosunków więcej się nadających reform społecznych.

Ta sama energja poświęcona dla spopularyzowania innych najpilniejszych reform agrarnych, może wywrzeć wśród powszedniej u nas apatyi niejednokrotnie doniosły a może i decydujący wpływ.

Dr. Jan Hupka.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

»Ułuda«, fragment dramatyczny w 3 aktach Macieja Szukiewicza; — »Wina«, dramat w 3 aktach Jarosława Hilberta; — »Złote kołnierze«, komedya w 3 aktach Adolfa Walewskiego; — »Mistrz Paryża«, dramat w 1 akcie Alicyi Ramsey i Rudolfa de Cordovy.

Epoka Sardou, Vallabreuge'a, Blumenthala i Kadelburga, Bałuckiego i Gawalewicza zdaje się powoli ale bezpowrotnie przechodzić. Stare formy się znudziły, wyszarzały stare myśli i poglądy, węzły, sytuacye, kolizye, rozwiązania, typy i charaktery często powtarzane przestały zajmować czy bawić tracąc przymiot aktualności, żywotności chwili i racyę zainteresowania; pozostał tylko nadal człowiek, życie i sztuka, a więc nigdy nie wyschłe źródło, z którego czerpać mogą ci, którym dano mieć talent. Sztuka dramatyczna więcej niż inna wymaga nowych soków, świeżego powietrza, nowego słońca. Życie współczesne coraz inne, coraz to różniejsze, niepodobne w niczem do życia z wczoraj, człowiek w zewnętrznych przejawach jakiś inny, może gorszy, ale szczerszy, zmienniejszy, słabszy. W tem, co czyni występują nowe motywa, coraz to liczniejsze, jak panowanie nerwów wszechwładne, atawizm, choroba woli już popularna, walka z układem społecznym, racye polity-

czne, interesa ekonomiczne, dysonanse w ognisku domowem, katechizm modnych teoryi filozoficznych i wiele innych. Skomplikowane nowe życie współczesne wyrabia nową monetę obiegową myśli i zasad, wychowuje nowe pokolenie, o odmiennej psyche jednostek i warstw społecznych ale i wymaga nowych pisarzy, innego kąta widzenia i innego sposobu przedstawienia. Poeci upływającej epoki nie rozumieją po większej części ducha powstającej epoki. — Dla Goethego, postawionego wśród nas, bylibyśmy obcymi i niezrozumiali tak jak dla Ibsena dziwni i niewytłomaczeni byliby ludzie z końca XX wieku. Nasza twórczość dramatyczna rodzinna żyje jeszcze starymi sokami. Myśli wczorajsze, mało powietrza, wąskie horyzonty, powoli dopiero, bardzo powoli pojawia się gdzieniegdzie nowy autor, mówiący co innego niż mówili Bałucki, Abrahamowicz, Przybylski; gdzieniegdzie pojawi się znowu poeta dramatyczny lub autor nawiązujący przerwaną nić z dawnymi autorami, którzy byli artystami, nie schlebiali smakowi niewybrednemu tłumu, ani nie mówili do publiczności jej słowem codziennem według jej szarej myśli, zeszedłszy z wyżyn poezyi do przedmiejskiego niveau Pipidówek. Gałąź poezyi dramatycznej nie uschła zupełnie, wtedy nawet gdy wyglądała biedno i bezlistnie miała Faleńskiego, Okońskiego, Święcickiego, miała prawie europejską komedyę społeczno-obyczajową Narzymskiego, Lubowskiego, Zalewskiego, Sarneckiego, Jankowskiego, miała Sewera z jego »Pojedynkiem Szlachetnych« i »Marcinem Łubą«, Jasieńczyka, Karczewskiego, Lenę i innych, którzy ratowali smak i godność publiczności chylącej się sympatyą ku bezmyślnym mieszczańskim farsistom, Wickom i Wackom. To też nasi młodzi dramaturgowie mają podwójne i wielkie obowiązki. Między innymi podniesienie zbarokowanego smaku publiczności, aby przekonać niewiernych, że nietylko zdrada małżeńska w kombinacyach i na różną metodę, nietylko tańce w tancbudzie, kolacye, zaręczyny, wesela, biegi z przeszkodami Numy do Pompiliusza i wyszydzanie kultury europejskiej na rzecz zaściankowej głupoty bawią naszą publiczność, ale że publiczność ta chętnie współmyśli i współczuje i lubi poważne sztuki. To obowiązek otwarcia okna na Europę i estetycznej akcyi poprawy smaku. Między innymi obowiązek tak sumiennego wykończenia, takiej skończoności formy, takiej artystycznej skrupulatności i takiej żywotności czy wagienowej myśli w swych utworach, aby publiczność zmuszoną była do poważnego zainteresowania się ich pracami, a schodzący z pola widzieli wschodzące jutrznie prawdziwych talentów. To są obowiązki młodych w dramacie, to jest także obowiązek p. Macieja Szukiewicza, którego drugi już utwór U l u d ę poznaliśmy na krakowskiej scenie. Jestto praca poważna skończona, fałszywie zatytułowana fragmentem, wykazująca jędrny i poetyczny talent autora, obok pewnej naiwności i nieznajomości życia, takiego, jakiem ono jest dla ludzi opisywanych a nie piszących. Fakt czy fragment z życia jest raczej fragmentem z literatury, fragmentem z fantazyi autora, wypadkiem, który dejmy na to mógłby się zdarzyć, gdyby ludzie byli tacy, jak wyglądają obserwowani przez pryzmat autora, a nie tacy jak żyją. Bardzo to byłoby chlubnem, dopóki ci ludzie zaobserwowani przez temperament i oczy autora nie przekraczają granicy między prawdą a fantazyą i stoją między nimi, ale gdy są wzięci tylko z fantazyi, a więc nie z życia, a postawieni w akcyę współczesną, gdy mówią językiem realistycznym i postępują zresztą jak przeciętni śmiertelnicy z krwi i kości, a tylko w niektórych wypadkach stawiają sobie surową normę postępowania i bronią paragrafu moralnego bardzo szlachetnego ale bardzo trudnego w wykonaniu, wtedy inponują swą zacnością i czystością duszy, ale wydają się wyjątkowo czasem nieszczerzy, czasem nieprawdziwi. Mieczysław Kiryłło to postać bardzo ciekawa choć nie bardzo konsekwentna. Jego prawie wyjątkową zacność pobudek i wzorową szlachetność w stosunku do kobiety uwiedzionej ma tłómaczyć wytworna natura przeczulonego artysty i fakty z przeszłości jego rodziny, które wyrobiły w nim ten szlachetny, ale może niekonieczny mus moralny w zaślubieniu modelki. Ale czemże usprawiedliwić w nim brak moralnego taktu w tym fakcie, że żeniąc się z modelką narzeczonej swej, ani słówka o tem nie donosi narzeczonej, którą kocha; to już nietylko niemoralne, ale nieszlachetnie, nie honorowo. Czemże usprawiedliwić jego nieetyczne postępowanie z żoną, brutalność codzienną już nie kapryśno artystyczną, ale raczej parobczarską. Otoczenie ordynarne, nie rozumiejące jego aspiracyi wyższych, denerwujące go i doprowadzające do wybuchów? Natura artystyczna w takich warunkach zwija się zwykle, skupia w sobie, a z bólu rozczarowań wytryska nowe źródło natchnienia; w takich warunkach jeżeli artysta nie ma łącznika ze światem (a Kirydło nie ma, bo żony swej nie kocha), wtedy zrywa ze światem, znajduje w sobie światy, a nie walczy ciągłą podjazdową walką z tymi, którymi gardzi. Ale Mieczysław Kiryłło jest organizacyą wyjątkową. Wyjątkowy też stawia sobie postulat moralny, którego racyę wszyscy w duszy uznają, ale według któregoby mało kto postępowanie swe kierował. Postać Kiryłły w zestawieniu codziennych faktów a wytycznych moralnych, jakie sobie nakreśla w ważnych wypadkach życia, wychodzi niezupełnie jasno i konsekwentnie. Otoczenie malarza Kiryłły skreślił autor interesująco, bez zarzutu w rysunku, ale bez oryginalności w inwencyi. Trochę szablonowej sztywności mają np. koledzy malarza. Sylwetki dość blade, mało mają kolorytu cyganeryi malarskiej, ale razem wzięte w pierwszym akcie dają widzom obraz dobry życia artystów i wdzięczny efekt sceniczny autorowi. Żona Kiryłły, silnie zmysłowa Niemka, przeciętna modelka monachijska, zakochana w swym Miecie, staje się wskutek zdarzeń biedną, nieszczęśliwą ofiarą losu, a może i Miety. Po krótkich miodowych miesiącach odtrącona ze swą zbyt zmysłową, może i dlatego żałącą miłością zostaje samą i widzi przedmiotem uczuć swego męża inną dawno przez niego kochaną kobietę. Teściowa Sattlowa, to dość łatwo, za jaskrawo, prawie humorystycznie, ale gładko do końca przeprowadzona figura. Wdzięczną postacią jest panna Helena — Zosia, panna dość emancypowana i energiczna w poszukiwaniu swego narzeczonego w Monachium, będąca pod urokiem złotego medalu narzeczonego, o którym dość długo zapominała na Litwie. Jej ojciec to człowiek o szlachetnych tradycyach, ale znowu za brutalny, kiedy Kiryłle, zdrętwiałemu z bólu po stracie żony ofiaruje rękę swej córki, nie widząc całej grozy położenia młodego człowieka. Myśl przewodnia Uludy i jej sens moralny są bardzo oderwane, wyjątkowe, ale kwestya cała jest postawiona jasno i szlachetnie, choć jak zwykle bez odpowiedzi. Autor rzuca z desek scenicznych pytanie: czy uwodziciel dziewczyny dobrze robi żeniąc się z nią, co wywołuje taką sytuacyę życiową jak Mieczysława Kiryłły. Budowa sztuki p. Szukiewicza jest bez zarzutu, akcya potoczysta, dyalog rutynowanych autorów scenicznych, sytuacye pełne ekspressyi tragicznej, wszystko rozwija się logicznie, prawdziwie, bez jaskrawych efektów, bez

użycia metody Sudermanna: sztucznego pogłębienia myśli, tanich paradoksów i efektownych scen.

Jarosław Hilbert również młody autor czeski dał nam utwór, który zarazem jest pierwszą sztuką czeską graną na polskiej scenie i to utwór doskonały, skończony p. t.: Wina. Jestto rzecz tego rodzaju, utwór tak plastyczny, tak psychologiczny i zwięzły, że nic się z niego usunąć nie da, ani jedna myśl, ani żadna kwestya, całość jeden łańcuch wypadków życiowych związanych ze sobą ogniwem przyczyn i skutków, win i kar, nierozerwalny. Jestto dramat par excellence psychologiczny, zestawienie kilka głębokich charakterów kilku ludzi mających prawdziwą duszę i serce. Znać, że ta rodzina mieszczańska czeska jest wziętą ze społeczeństwa kulturalnego, znać że ci ludzie myślą i zastanawiają się nad sobą, że czują wszystko podwójnie, że nie żyją codziennością i powszedniością, że mają czasem czysto idealne cele i czysto idealne pobudki. Jakaś powaga bije od tej rodziny, czuć że to wielkie miasto koło nich, że tu codzień rozmawiają o abstraktach, że artyzm i literatura dla nich nie zbytek niedzielny ale, że to potrzeba człowieka cywilizowanego. A może to tylko milieu wdowy po redaktorze i literacie, syna rzeźbiarza, córki inteligentnej i jej narzeczonego literata? Dość, że poziom umysłowy rodziny Marzaków jest znacznie wyższy od przeciętnego mieszczańskiego i że typ ludzki ruchliwszy i wytworniejszy.

Na całą akcyę sceniczną pada ciemny refleks przeszłości, wielki cień win. Matka, która nie kochając męża, wyszła za niego a szalała za tenorem, która pamięć tej miłości wiecznie świeżą nosi w sercu, a dla własnego dziecka przypominającego niekochanego męża niema nic miłości matczynej. Ojciec, nieżyjący literat, fantasta, który borykał się z prozą życia, nędzą a tak był uparty zapamiętały i przekorny, że w strasznej już nędzy ostatnią dziesiątkę zamiast dłużnikom w piec rzucił na spalenie. To winy rodziców. A jej wina? biednej, niedoświadczonej Miny, szesnastoletniej dziewczki, córki takich rodziców, wychowanej w chorobliwej atmosferze tego pięknego złotowłosego pół dziecka, pół kobiety. Jej wina to nieopatrzne i lekkomyślne oddanie się pierwszemu lepszemu, który szatańsko omotał jej rozbudzone zmysły i ściągnąwszy na nią winę i hańbę uwiedzenia wyjechał.

Uhlicz przez siedem lat pracował i stworzył sobie takie warunki bytu, że obecnie może Minę uwiedzioną niegdyś, legalnie pojąć za żonę. Czy to jeszcze miłość niewystudzona tak długiem oddaleniem, czy tylko kombinacya wygodna wprowadzenia złotego ptaka do klatki? A tymczasem Mina zostaje ze swoją hańbą, wraca do matki niekochającej i brata artysty i kupca i zaczyna swą Gehennę, życie ugruntowane na kłamstwie, życie usłane wstydem i upokorzeniem. Ale ta Gehenna nadaje jej charakterowi twardości, męzkiego hartu woli, robi z niej myślącą kobietę, robi z niej typ, który autor wyrzeźbił z subtelną delikatnością i wycieniowaniem. Nastają wypadki dnia może zanadto przypadkowo skombinowane, może za teatralne ale mające taką grozę tragiczną, że się zapomina o ich prawie sztucznem zestawieniu. Uhlicz ofiaruje jej swą rękę, ale ona ma już narzeczonego, którego kocha, głęboką i gorącą miłością dojrzałej kobiety. Uhlicz ją zmusi do małżeństwa wyznaniem Hoszkowi całej tajemnicy, Uhlicz tę tajemnicę wyjawia. I Hoszek byłby ją wziął mimo jej winy, gdyby nie przypadek, gdyby nie manifestacya innej strony charakteru Miny, odziedziczonej po ojcu, tej przekory, uporu, stawania okoniem, który doprowadza Minę do rzucenia się w objęcia Uhlicza, kiedy Hoszek w brutalnej formie rzuca jej wstyd i hańbę w twarz. I oto nie ma wyjścia. Hoszek wraca i chce ją wziąść mimo wszystko, ale gdy mu Mina wyznaje, że Uhliczowi sama się narzuciła, odpycha ją, a Mina widząc, że wszystko koło niej wali się w przepaść i niema ratunku, rozgoryczona, rozszalała z bolu, wstydu, upokorzeń, odtrącana, zrozpaczona rzuca się z okna na ulicę. Ot smutna opowieść wysnuta z kronikarskiej wzmianki jakich codzień czyta się wiele.

Młody autor z takiej wzmianki wysnuł dramat bardzo prawdziwy i bardzo częsty. Znać w Minie wielki wpływ Ibsena ale znać i indywidualność silną autora. Po Hilbercie można się taksamo, jak po Macieju Szukiewiczu spodziewać jeszcze wiele i dobrego, gdyż są to talenta plastyczne i myślące i obaj zdają się rozumieć obowiązki młodych w sztuce dramatycznej.

Mistrz Paryża jestto gruby, robiony jak na obstalunek niewybrednej publiczności melodramat, w którym figura kata, czerwone włosy i złe oko córki jego Hyacynty, wicher na dworze i muzyka mają w publiczności wyrobić nastrój i podniecona wrażliwość. Domowe ognisko kata Francyi, dziwna córka, kochanek namiętny, morderstwo, pukania do drzwi złego ducha, to interesujące sztuczki ale zanadto popularne. Mistrz Paryża wstrząsnie duszą ale tych ludzi, którymi wstrząsną powieści Gaborieuego i Kooka. Urzędnicza sfera galicyjska czeka i niedoczekała się jeszcze autora, któryby ją oddał ze zrozumieniem, wniknięciem i z pogłębieniem jej płytkości. Złote kołnierze Adolfa Walewskiego to już jest coś, to już jest dobrze zaobserwowany, ale jednostronnie, urywek z życia tej sfery, która przecież tworzy część wielką społeczeństwa galicyjskiego. Świat złotych kołnierzy wziął p. Walewski z dykasteryi najbardziej upośledzonej pod względem pensyjnym, a co za tem idzie mniejsze mającej pretensye i aspiracye towarzyskie w stosunku do środków materyalnych, niż sfera wyższych urzędników, mających o wiele większe aspiracye a nie o wiele większe pensye. P. Walewski podobnie jak p. German ma wiele od Bałuckiego. Tensam sposób obserwacyi, tesame typy i tensam nervus komedyi, tj. 4 czy 6 osób, które się w ostatnim akcie pozaręczają, ale przez 3, lub 4 akty muszą chodzić i mówić. Pod złotymi kołnierzami mógłby się śmiało podpisać Bałucki, gdyż ma tam swoją swatkę panią de Torba, swoje panny, swego starego kawalera i swoje sytuacye. Epizod z blacharzem jest także a la Bałucki. P. Walewskiego jest chyba tylko głucha głupowata panna, wynalazek dla komedyi nowy ale nieszlachetny i druga córka radcy rachunkowego Bryndzy materyalistka wyrachowana. Ale komedya pana Walewskiego jest ostatecznie dobrze zrobiona, ma wiele humoru, zgrabne i nienaciągane sytuacye, koloryt sfery złotych kołnierzy oddany wiernie i ściśle, a myśl przewodnią racyonalną i rozsądną. Myśl przewodnia zaś to rada dla tej sfery, aby kapitulowała ze swych anachronicznych pretensyi i wyodrębnienia się od reszty społeczeństwa pracującego na chleb, nie uważała związku swych córek z blacharzem, czy kupcem za mezalians i starała się materyalnie tak dodać blasku swym złotym kołnierzom, jak np. arystokratyczne sfery nadają blask swym herbom związkami z haut finance. Rada rozsądna i praktyczna.

Adolf Now.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: Dr. Antoni Górski, Prof. U. J.
W Krakowie. 1898. — Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego, pod zarządem Józefa Filipowskiego.